

Tego BRUCE LEE  
nie przewidział!

Jak Lato  
wrócił  
do kadry?

camena  
w poezji  
Grzegorza Pernacha

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

# Kamena



NR 19 (786)

11-24 września 1983

CENA 10 ZŁ

## KŁĘSKA URODZAJU ZWYCIĘSTWO BAŁAGANU

Henryk Pajak

ZBLIŻA się kolejny sezon skupu i przetwórstwa owoców. Co przyniesie on nam, konsumentom, oraz gospodarce kraju? Po ile będziemy kupować owoce, kompoty, dżemy, miód?

Czytelnikowi, który nie zechce przebrnąć przez wszystkie meandry tej problematyki, na podstawie zebranych faktów i prognoz mogę od razu odpowiedzieć na te podstawowe pytania. Krótko mówiąc, stoimy przed kolejną klęską urodzaju. Wprawdzie nie zanoszą się na urodzaj stulecia, czyli taki, jak w roku ubiegłym, ale czeka nas zdecydowany nadurodzaj. Owoców będzie dużo i będą drogie. Z przetworami podobnie: półki będą się uginać od kompotów i dżemów, ale zbyt drogich jak na naszą kieszeń. W miódach zapowiada się jeszcze radośniejsze, to znaczy najgorzej — stanieniem się krajem wprost miodem płynącym. Ale miodem kupowanym „na lekarstwo”.

Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak właśnie będzie. Machina absurdu — na którą składa się nieuchronny urodzaj (teraz, we wrześniu, może zmniejszy go już tylko jakaś straszliwa klęska żywiołowa) oraz oziębiający skup, fatalna dystrybucja, wysokie ceny i malejąca siła nabywcza konsumenta — już

poszła w ruch: rzecz jest nieodwracalna.

Dla zobrazowania tej sytuacji należy koniecznie cofnąć się do sezonu ubiegłego, stanowi on bowiem naturalną podstawę wyjściową do sezonu obecnego. Po pierwsze — doskonale obrazuje skalę niemocy i bałaganu całego systemu skupu, przedsiębiorstw dystrybucji i cen poddanych poważniejszej próbie. Po drugie — w spadku po ubiegłorocznej klęsce urodzaju handel dysponuje górami dżemów, kompotów nie kupionych i przeterminowanych; tysiącami ton miodu; magazynami pełnymi spirytusu wyprodukowanego z ubiegłorocznych jabłek i sliwek, z którymi nadal nie wiadomo co zrobić.

W ubiegłym roku już w czerwcu było wiadomo, że ma się na rekordowy urodzaj. Ogromna ilość zawiązków, nadzwyczaj sprzyjająca pogoda, która pozwalała ograniczyć ilość opryszków w sadach intensywnych i nowoczesnych z kilkunastu do kilku oraz znikome infekcje parcha i mączniaka — nie zostawiały żadnych złudzeń co do rekordowych plonów.

Jak przygotowywała się do tych zapowiedzi spółdzielczość ogrodnicza, przedsiębiorstwa zaopatrzenia i dystrybucji oraz przemysł przetwórczy? Otóż przygotowywały się jak do normalnego sezonu. Sama spółdzielczość ogrodnicza z jej bazami skupu — Hortex (przetwórczy i eksportowy), prze-

Dokończenie na str. 9



Wrzesień: Dni Majdanka. Rysunek Jana Rzyszcza — „Apel śmierci” z VI Wystawy Malarstwa, Grafiki i Rzeźby „Przeciw Wojnie”.

Pułkownikowi  
Witoldowi Brzezińskiemu

— Chodź panienko — powiedział wuj, wprowadzając Annę na podwórze — zrobię ci dobrą herbatę. Przedwojennej. Nie bój się — sprostował — to tylko sposób przedwojenny, herbatka jest wprost od przewodniczącego Mao.

Wrócili po długiej jeździe terenowej, wuj wiele rad z pojętności swojej uczennicy, Anna ze sztychem starego domu w oczach. Uwiązali konie przy płocie, widać je było przez okno, tworzyły dobre tło dla nastroju, w jakim znalazł się wuj, sirobnawszy herbaty z kropelką nalewki.

— A jeszcze niedawno, panienko —

## DEFILADA

Eugeniusz Kabatc

mówił popatrując na Annę z upodobaniem — jako absolwent Wyższej Szkoły Wojennej dostałem przydział na manewry jesienne do Dywizji Kawalerii w Białymstoku. To była wiel-

ka jednostka, składała się z pięciu pułków ułanów, jednego pułku szwoleżerów i trzech dywizjonów artylerii konnej. Aha, i był jeszcze batalion strzelców pieszych, specjalnie trenowa-

ny do szybkich marszów, robili po sześćdziesiąt kilometrów dziennie. I jeszcze nie wszystko, bo pamiętam, że mieli tam oprócz tego sześć szwadronów karabinów maszynowych, trzy szwadrony pionierów i trzy baterie działek przeciwpancernych. Dobrą mam pamięć, co?

— Bardzo dobra, panie pułkowniku. — Całą tą jednostką dowodził gen. Rómmel, były oficer carskiej kawalerii. Wiesz panienko, kto to był gen. Rómmel?

— Były oficer carskiej kawalerii. — Figa z makiem z pasternakiem. Gen. Rómmel był dowódcą Armii „Łódź”, a potem bohaterskim obrońcą Warszawy. Może nie?

Dokończenie na str. 6



# z notatnika

26 VIII. Prof. Desmond Ball z centrum studiów strategicznych i obronnych australijskiego uniwersytetu w mieście Canberra wyliczył, że amerykański atak nuklearny na radzieckie cele strategiczne i na miejskie centra przemysłowe spowodowałby śmierć od 25 do 34 milionów obywateli radzieckich. Zdaniem profesora, ofiary mogłyby być jeszcze większe, gdyby „Rosjanie nie dokonali uprzednio odpowiednich przesunięć ewakuacyjnych”. Inaczej mówiąc, w jednym ataku mogłoby zginąć tyłu ludzi, ilu obywateli ma Polska...

Zrozumiałe, że obie strony dysponują bronią nuklearną, w razie użycia wszystkich nagromadzonych zapasów cała nasza kochana planeta mogłaby być unicestwiona prawie 2000-krotnie. To już przechodzi ludzkie wyobrażenia, a przecież to ludzie ludziom gotują ten los Bomba, która w sierpniowy poranek 1945 r. spopieliła Hiroszimę, otworzyła najstraszliwszą kartę w dziejach naszej planety...

W RFN opublikowano wyniki badań opinii publicznej, przeprowadzonej na zlecenie II programu TV. Główne pytanie brzmiało: „ZSRR i USA prowadzą teraz w Genewie rokowania rozbrowojeniowe na temat rakiet nuklearnych średniego zasięgu. Jeśli rokowania te nie doprowadzą na jesieni do porozumienia, co powinno wówczas nastąpić?” Wyniki ankiety są następujące: 75,5 proc. badanych odpowiedziało, że należy dalej rokować i byli oni przeciwni stacjonowaniu nowych rakiet amerykańskich w RFN; 20,4 proc. wypowiedziało się za dalszymi rokowaniami, ale jednocześnie nie miało nic przeciwko rozpoczęciu stacjonowania rakiet. Tylko 3,2 proc. stwierdziło, że rokowania należy zerwać i rozpocząć rozmieszczanie nowych rakiet. Nieliczni pozostali nie mieli żadnego zdania w tej sprawie.

Nie wiem, czy wynik ankiety kogośkolwiek zaskakuje. Jesień w RFN zapowiada się bardzo gorąco; przeciwnicy zbrojeń zapowiadają podjęcie szeregu akcji protestacyjnych. Społeczeństwo całego świata będzie je śledzić ze wzmoczoną uwagą.

Administracja amerykańska też zna wyniki wspomnianej wyżej ankiety i sama zapewne potrafi trafnie ocenić nastroje w RFN. Można oczekiwać, że zrobi ona wszystko, aby odwrócić zainteresowanie światowej opinii publicznej protestami, które już są i które w miarę upływu czasu z pewnością spotęgują się. Dla administracji amerykańskiej będzie lepiej, jeśli gazety zachodnie poświęcą swe czołówki innym problemom, chociażby... polskim. Stąd podsypanie jatrzenia na falach eteru, próba podniecania napięcia w związku z trzecią rocznicą podpisania umów w Stoczni Gdańskiej. Każde oświadczenie, każdy apel tzw. podziemnych znajduje oddźwięk w tych mówionych po polsku audycjach. Rzuca się iskry, sądząc, że my w Polsce będziemy na nie dmuchać...

26 VIII. Wczorajsza „Gazeta Krakowska” zamieściła obszerny wywiad z Władysławem Hardkiem, działaczem b. „Solidarności”, członkiem władz tzw. Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”. Wywiad jest obszerny i wcale nie taki zwój gładki. Janusz Hańderek, który wywiad przeprowadzał, pyta np. Hardka:

— [...] Po sierpniu „Solidarność” naciskała na podwyżki. Podwyżki dla każdego. Nastąpiły rzeczywiście. Mówiło się o „wałówkach”.

— W parze z tymi naciskami (— odpowiada Hardk —) szły jednak pewne zobowiązania związku.

— Ale szły również strajki.

— W takiej konwencji to ja nie będę rozmawiał.

„Władysław Hardk — pisze Janusz Hańderek — wstaje zdenerwowany, po chwili jednak uspokaja się i kontynuujemy rozmowę. Nie zajmuje już jednak miejsca przy stoliku stwierdzając, że bardzo się spieszy i chce spotkać się ze swymi bliskimi. Rozmowa trwa jeszcze kilkadziesiąt minut.

— W kilku pismach, a raczej ulotkach [...] pojawiły się pana oświadczenia i nawoływania do demonstracji w dniu 31 sierpnia. Czy są one pana autorstwa, czy je pan podpisywał?

— Nie, ja ich nie pisałem, ani nie podpisywałem.

— Czy nie jest to nadużycie posługiwania się pana nazwiskiem?

— Tak, jest to nadużycie.

— Nie protestował pan jednak tego typu oświadczeń...

— Często brak nam było kontaktu między sobą, nie mieliśmy możliwości porozumiewania się. Działanie w podziemiu jest po prostu działaniem w podziemiu.

Na pytanie: „co pana skłoniło do ujawnienia się”, Hardk odpowiada:

— Bardzo wiele czynników, wiele przemyśleń, świadomość, że trzeba wychodzić z marazmu. Czas biegnie. Decyzja o ujawnieniu się nie była łatwa, przyspieszyła ją ustawa o amnestii. Doszedłem także do wniosku, że droga, którą szliśmy, przynosi szkody i dalsze prowadzenie działalności konspiracyjnej nie ma sensu...

Czas rzeczywiście biegnie. Lepiej późno niż wcale...

31 VIII. Z dużej chmury mały deszcz... Co to się miało w Polsce wydarzyć dzisiaj? Hasła tzw. podziemia z całym samozaparciem kolportowane przez radio Waszyngton, Paryż i nieco mniej (choć zresztą) przez Londyn coraz bardziej tracą na nośności. Jeszcze gdzieś, jak np. w Nowej Hucie, próbuje się trenować rzut kamieniem, ale już coraz mniej chętnych do tego rzucania. Tzw. podziemne ogłasza bojkot komunikacji miejskiej. A może jeszcze bojkot kolei? A może bojkot małżeńskich intymności?

Przed 31 sierpnia wicepremier Mieczysław F. Rakowski spotkał się z założycielką Stoczni Gdańskiej, spotkał się w tej samej sali, w której podpisano porozumienie. Gdy to się działo, Rakowski był naczelnym „Polityki”.

Potem należał do grona tych dziennikarzy, którzy z nadzieją patrzyli na nowy związek, chociaż on wcześniej dostrzegł piętujące się rafy.

Obejrzałem sprawozdanie z tego spotkania w TV; w poniedziałek, a więc w dzień, kiedy zwykle ogląda się teatr telewizyjny. Zadane jednak przedstawienie teatralne nie cieszyłoby się takim wzięciem, jak to spotkanie w stoczni. W wielu oknach długo nie gasły światła, widocznie dyskutowano do późnych godzin...

Rakowskiego znam od 1949 r., widziałem go w różnych sytuacjach. Teraz zaimponował mi tym, że przybył do stoczni, że nie dał się sprowokować krzykaczom, że wytrwale przedstawiał swoje poglądy, które tutaj nie wszystkim mogły się podobać. „Ten człowiek ma żelazne nerwy” — słyszałem od jednych, ale znalazł się i taki, który twierdził, że Rakowski obrażał robotników. Mam inne zdanie, bo kto tu właściwie kogo obrażał? Jedni, zorganizowani w grupie, gwizdali i wrzeszczeli, inni klaskali. Jeśli zaś chodzi o robotników... Nie rzucajmy ich do jednego worka, zwłaszcza że przez tyle

miesiący różni bardziej lub mniej udyplomowani „odnowiciele” nie przesyłali przecież okazji...

A swoją drogą za mało jest, ciągle za mało, takich bezpośrednich rozmów. Nie tylko w środowiskach robotniczych...

IX. Czterdziesta czwarta rocznica pamiętnego Września, tego września, który zwykliśmy pisać przez duże „W”. (Wiele już miesięcy w polskim kalendarzu można tymi dużymi literami nazwać, ciągle kłania się nam wielka historia...)

Właśnie w przededniu rocznicy ukazała się wydana przez Wydawnictwo Lubelskie niezwykła cenna pozycja: „Kronika wydarzeń w Lublinie w okresie okupacji hitlerowskiej” opracowana przez Józefa Kasperka. Podziwiam trud autora, ale... Na str. 152 pod datą 1 lipca 1941 r. znalazłem taką notkę: „Do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen przybył z Lublina transport 800 więźniów, w którym znajdował się m.in. Kazimierz Andrzej Jaworski, założyciel i redaktor naczelną czasopisma „Kamena”. W obozie przebywał on 19 miesięcy...” Rzeczywiście przebywał w obozie 19 miesięcy, ale Józef Kasperk pomylił się o cały rok: ojca aresztowali Niemcy w 1940 r., a nie w 1941 r.! Ta pomyłka, muszę szczerze wyznać, nakazała mi bardziej krytycznie spojrzeć na tę publikację, bo straciłem do niej trochę zaufania (co autora dziwić nie powinno...).

Sięgnąłem też dziś do głosnej książki Zygmunta Mańkowskiego: „Między Wisłą a Bugiem 1939—1944” (Wydawnictwo Lubelskie, 1978 r.). Czytałem ją już dawniej, później niejednokrotnie kartkowałem, znajdując wiele bardzo interesujących, pasjonujących wręcz materiałów. Chciałoby się przeprowadzić ankietę w naszych szkołach licealnych: ilu uczniów miało tę pracę w ręku, ilu ona zainteresowała? Mam tu na myśli nie tylko Lublin, w książce mowa jest przecież o ziemiach między Wisłą a Bugiem! Wymieniam uczniów, ale bądźmy szczerzy, czy wszyscy nauczyciele historii ją przeczytali? A przecież po 1978 r. miała już drugi nakład!

3 IX. Mówiło się już o tym, ale dopiero dzisiaj sprawą tą zajął się Dziennik Telewizyjny, a wczoraj — „Kurier Lubelski”.

Toczy się śledztwo przeciwko producentom i kolporterom fałszywych 100-dolarówek. Około tysiąca z nich puszczone w obieg, biorąc za nie — zaleźnie od koniunktury — 13 do 60 tys. złotych. Wszystkie banknoty noszą tylko takie numery jak: 18804097, 18804098 i 20483371 (przy numerach są jeszcze literki, kogo to interesuje, ten sprawdzi sobie dokładnie).

Pikanterią jest fakt, że banknoty zostały wyprodukowane w dziale wydawniczo-poligraficznym KUL-u w Lublinie. Tamtejsza drukarnia dysponuje znakomitymi środkami technicznymi.

Tysiąc fałszywych 100-dolarówek to w sumie 100 000 dolarów, niezła sumka. „Afera stulecia” wykryta w Lublinie — pisze w „Kurjerze” Alicja Chwałczyk. Dobrze, że owe słowa o aferze stulecia ujęte są w cudzysłowie, gdyż do tego miana mogłyby również kandydować i inne oszustwa. W stuleciu znalazłoby się ich wcale nie tak mało...

A swoją drogą na co liczą fałszerze? Inna rzecz, że banknoty były ponoć

## PAWEŁ DĄBEK

Budowniczy Polski Ludowej, który wszystkie swe siły poświęcił walce o społeczne i narodowe wyzwolenie naszej Ojczyzny, obchodzi 24 bm. 75 rocznicę urodzin. Z tej okazji przesyłamy mu serdeczne życzenia długich lat życia, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Kolegium redakcyjne i zespół „Kamena”

podrobione znakomicie. Marnują się u nas talenty!

4 IX. Tym razem centralne dożynki zorganizowano w Pawłowicach (gmina Krzemieniewo, woj. leszczyński). Przybył gen. Wojciech Jaruzelski. Bochen chleba, wypieczony z tegorocznej maki, wręczono przedstawicielom klasy robotniczej — jest to złamanie długoletniej tradycji, sympatyczne novum. Występ zespołu „Śląsk” były znakomite. Dawno tego zespołu już nie oglądaliśmy, zupełnie nowe, młode twarze. Urodził się Ramiętam, gdy centralne dożynki odbywały się na Stadionie X-lecia w Warszawie. Dziś inny czas — nie stolicą, nie miastem wojewódzkim, ale najzwyczajniejszą wieś, nie będącą nawet siedzibą gminy...

Wśród zaproszonych gości z przyjemnością dojrzałem postać Kazimierza Barcikowskiego. Choroba wytrąciła go na pewien czas z życia politycznego...

5 IX. Ewa Berberysz poszła z pielgrzymką do Częstochowy i swoje wrażenia opisała na łamach „Tygodnika Powszechnego” (nr 36). „Pewna Cyganika powiedziała mi — stwierdza autorka — że tak długo pielgrzymowała na intencję, żeby mąż nie pił, i nawet miała pretensje do Czarnej Madonny, że on nadal pije, aż dostał zawału i przestał. I teraz ona chodzi z wdzięczności...” Znam takich, którzy i po zawałe nie gardzą alkoholem, ale w danym wypadku nie o to mi chodzi...

W tymże samym numerze „Tygodnika” Kornel Filipowicz pisze: „Pan Z. [...] był samotnie opiekując się psem, który był bardzo stary, miał już ponad trzydzieści lat...” Czy autorowi nie dwoi się w oczach? Byłbym rad, gdyby moja Diana dociągnęła choć do piętnastki...

I jeszcze wyczytałem w „Tygodniku” Ks. Tadeusz Wincenciak z Chicago opisuje swe wrażenia z pobytu papieża w Polsce. Ks. Wincenciak śledził tę wizytę na łamach prasy i telewizji amerykańskiej. W pewnym momencie tak pisze: „Te Osiem Dni to czas wspaniałej nauki o Polsce i jej narodzie. Pokutował dawniej po tej stronie Atlantyku stereotypowy obraz związany z Polską i Polakami: biedna kobiecina, okutana w chusty, chłopek na jednokonnym wózku i kurna chata. [...] Jakież to kontrast z tym, czego świat był świadkiem w te dni. W dużej mierze nowoczesne miasta, murywane wsie, dobre drogi, uprzejme pola, kominy fabryk, piękne świątynie, bogata sztuka. A przede wszystkim ludzie, milionowe tłumy, ubrane „po miejsku”, z szykiem, choć niebogato, zadbane twarze i sympatyczne, inteligentne reakcje, zachowanie pełne godności i dumy, niezłomny duch, muzyka i śpiew. W milionach amerykańskich mieszkań, instytucji, sklepów, urzędów, lokali rozrykowych, klubów, a nawet szpitali — Papier z Polska, lud, śpiew, język, orły, symbole i modły. Lepsze to niż tysiące wykładów, artykułów i odczytów...” Na pewno lepsze, ale godziłoby się dodać, że te „nowoczesne miasta, murywane wsie, dobre drogi” etc. powstały właśnie w okresie Polski Ludowej. A kto tu, przepraszam, często tak krytycznie ocenia ostatnie 39-lecie naszej ojczyzny?

M. A. Jaworski

## Uwaga miłośnicy Bruce'a Lee (i nie tylko...)

W miesiącach letnich „Kamena” zwiększyła swój nakład, a mimo to zwroty spadły do minimum. Ponieważ otrzymujemy wiele listów i telefonów od naszych Czytelników, którzy wprost błagają (nie przesadzamy!) o poprzednie numery, wróciliśmy się do „Ruchu” z prośbą, by tych kilkuset starych egzemplarzy nie przeznaczono na przenieść, ale — z uwagi na lipcowo-sierpniowe urlopy i wakacje — ponownie skierowano do niektórych kiosków „Ruchu”, głównie w centrum Lublina. Różni się pospieszyć, bo redakcja nie jest w stanie odpowiadać pozytywnie nawet na prośby Czytelników z innych regionów Polski!



**KAZIMIERZ** Andrzej Jaworski mieszkał z dala od centrum Lublina, w obrębie starej robotniczej dzielnicy, przez którą rano niosło się melodyjne buczenie wysłużonych syren z dawnych fabryk Moritza i Wolskiego. Piętrowy domek przy ulicy Bronowickiej 14 stał (i stoi jeszcze) naprzeciwko cieniściego, zapuszczonego parku; gdzieś na tyłach posesji sączyła swoje błotniste wody Czerniejówka, uchodząca do przepływającej nie opodal Bystrzycy. W letnie wieczory, gdy ucichły miejskie autobusy i trolejbusy, można było tutaj usłyszeć stłumione odległością bicie zegara na Bramie Krakowskiej.

Na początku lat sześćdziesiątych KAJ bywał już w „Kamieniu” stosunkowo rzadko. Najczęściej widywałem go właśnie w domu na Bronowickiej, zanosząc listy przychodzące na jego nazwisko do redakcji, albo odbierając prowadzone systematycznie przez pisarza od wielu lat „Noty”.

Z bocznej uliczki wchodziło się przez skrzyżującą furtkę na położone na tyłach domu podwórko, z sienią strone drewniane schodki prowadziły na piętro. Dwa zaciemnione, położone w amfiladzie pokoje mieszkania KAJ-a zapchane były pod sam sufit książkami. W pierwszym pokoju, zaraz na prawo od drzwi z korytarką, stało starożytnie biurko, należące kiedyś do jego ojca, znanego chełmskiego lekarza. Przy tym biurku Kazimierz Andrzej Jaworski napisał chyba większość swoich wierszy i to na jego biurko rodzili się od 1933 roku aż po wczesne lata pięćdziesiąte — kolejne numery „Kamienia”.

KAJ był już na emeryturze. Chorował na serce. Długie letnie miesiące spędzał w Nałęczowie, gdzie odpoczywał i pisał wspomnienia. Chodził lekko przygarbiony; zapamiętałem na zawsze srebrzystosiwą czuprynę z równym przedziałkiem, ciemny garnitur oraz nieodłączną cygarowniczkę z tłącą się w niej połówką papierosa. Przede wszystkim zaś zapamiętałem życzliwość, z jaką KAJ odnosił się do młodych adeptów literatury. Nie wiem, czy łatwo się było z KAJ-em zaprzyjaźniać; w każdym razie niełatwo było uzyskać jego sympatię. Nie znosił za to, nawet wśród najbardziej przez niego hołubionych młodych talentów, chamstwa i przejawów braku kultury. Wtedy w łagodnego, życzliwego światła starego poetę wstępował lew. Pamiętam, jaką reprimendę dał dwóm początkującym lubelskim wieszczom, kiedy dowiedział się, że rozmazali „dla kawału” nie wyschniętą jeszcze farbą na taszystowskich obrazach Włodzimierza Borowskiego eksponowanych w sali lubelskiego BWA. Za karę nie wpuszczał przez pół roku ich utworów na łamy „Kamienia”.

Kiedy go poznałem, był już spowity w literacką legendę; jego dorobek pisarski i działalność edytorska, wieloletni trud włożony w redagowanie i wydawanie „Kamienia” w ciągu sześciu przedwojennych lat i w pierwszych latach powojennych zostały docenione przez władze i przez kolegów po piórze. Nigdy nie zapomnę aplauzu sali, kiedy podczas odbywającego się w 1964 r. w Lublinie XIV Zjazdu ZLP siwy, ale młodzieńczy KAJ pojawił się na mównicy. Bito brawa nie tylko założycielowi pisma, które obchodziło niedawno właśnie trzydziestelecie istnienia, ale także poecie i wychowawcy poetów.

Przy wszystkich swoich literackich pasjach i miłości do polskiej oraz światowej wielkiej literatury KAJ uwielbiał czytać... „kryminały”. Ta pasja tkwiła w nim już od wczesnej młodości; w jego bibliotece stało sporo wydawanych jeszcze przed I wojną światową, w języku rosyjskim, książek Conan Doyle’a lub jego mniej albo bardziej udanych nastawców. W chwilach dobrego humoru KAJ recytował z lubością zapamiętany jeszcze z czasów dzieciństwa fragment: „Oślepiające oczy parowozu coraz bardziej zbliżały się do nieruchomych ofiar. Sherlock Holmes z błyskawiczną szybkością wycelował rewolwer, huknęły dwa strzały, światła lokomotywy zgasyły, zgrzytnęły hamulce i życie dwójga ludzi zostało ocalone”. — Czy można wymyślić piękniejszą zdania! — cieszył się doskonały tłumacz Hłoka i Jesienina... Bardzo lubił twórczość Georgesa Simenona. I kiedy w lubelskich księgarniach pojawiło się dwudziestoparatomowe francuskie wydanie przygód komisarza Maigret, założyliśmy z KAJ-em i Marią Bechczyo-Rudnicką coś w rodzaju spółdzielni czytelniczej: każdy z udziałem wów kupił po siedem czy osiem tomów z serii, a potem wymienialiśmy je między sobą. Gdy dzisiaj spoglądam na półkę mojej biblioteki i tytuły: „Les vacances de Maigret”, „Maigret se defend”, „Un échec de Maigret” czy „Maigret et le fantôme”, wyłaniają mi się z pamięci spotkania z KAJ-em na pięterku domu przy ulicy Bronowickiej i jego niespieszne, przerywane długimi chwilami zaparczeń w ślepego buchającą za oknami, wynurzenia na temat prostoty prozy Simenona. Literackich watachach autora i umiejętności określenia przez niego kilkoma podgatunkami pióra nastroju i klimatu paryskich ulic lub prowincjonalnych miasteczek.

KAJ nigdy nie ciążył ku gwarnemu życiu stolicy. Stał na uboczu warszawskich koterii i układów literackich. Był człowiekiem prowincji — w najlepszym rozumieniu tego określenia. Tutaj, w Chełmie, wydał w 1924 r. swój pierw-

szy zbiór wierszy — „Czerwonej i białej kochance”. Do prowincjonalnego Chełma przychodziły przed półwieczem wiersze młodych poetów z całej Polski z prośbą o druk na łamach „Kamienia”. I stąd też gimnazjalny nauczyciel języka polskiego i poeta wysyłał swoje wiersze, eseje, tłumaczenia i artykuły, które ukazywały się w najważniejszych polskich czasopiśmie literackich.

Rodzina Kazimierza Andrzeja Jaworskiego była od dziesiątków lat związana z Zamojszczyzną i Chełmszczyzną, stanowiła przykład inteligencji polskiej głęboko wrośniętej w region. Jeszcze w pierwszej połowie ubieg-

leżnego KAJ-a: oczarowanie poezją, pisane przy świecy, pod przepastnym niebem Ukrainy, sonety, i owa pierwsza, nie spełniona miłość do tajemniczej Koleżanki, a następnie do — równie niezidentyfikowanej — Góralki, i narastająca z latami namiętność do Tatr, przemierzonych z plecakiem i ciupagą, wzdłuż i wszerz...

Po latach, stojąc już nad progiem przepaści, pisał w zwróconym w stronę młodzieńczych lat wierszu, który poświęcił przyjacielowi z charkowskich czasów, Wacławowi Bożentowiczowi: [...] „Drzew zapach był trujący. Trujące były wiersze.

kach! — młoczenia wznawiamy „Kamień”. Wchodzimy nie tylko w nowy okres wydawniczy, ale w nową epokę polski...” A w rok później (w nrze 1-3 z 1946 r.) stwierdzał z dumą: [...] Pozostaliśmy wierni dawnemu programowi, który realizujemy w zmienionych, bardziej sprzyjających naszym zamierzeniom warunkach. Za sobą mamy legitymację sześciu lat przedwojennych, nie musimy „przysposobować się”, przemalowywać chorągiewki, podróżować do Canossy, bić się w piersi z racji dawnego antysemityzmu czy inklinacji totalistycznych. „Kamień” pozostała „Kamień” i kroczy dalej swoją drogą dla wszystkich chętnych [...] gościnnie otwarta, propaguje zbliżenia

## ŚRODOWISKO LUBELSKIE (15)

# KAJ



Mirosław Derecki

go stulecia przybył do Królestwa z rodzinnej Galicji pradział KAJ-a, Jan Jaworski, obejmując stanowisko bibliotekarza Ordynacji Zamojskiej. Jego syn, Wincenty, zarządzał kluczem majątków Ordynacji, tzw. „kluczem strzeleckim”, a wnuk, Edward Jaworski, ukończył w Warszawie studia medyczne i on był właśnie ojcem poety, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Gałąź rodziny pozostała pod zaborem austriackim poszła w kierunku kariery politycznej: stryjeczny brat dziadka KAJ-a, Apolinary Jaworski, był przez kilka lat w austriackim parlamencie prezesem Koła Polskiego, a nawet przez jakiś okres piastował stanowisko namiestnika Galicji.

Talenty artystyczne odziedziczył KAJ najprawdopodobniej po matce, uzdolnionej pianistce i dobrze zapowiadającej się śpiewaczce, która po wyjściu za mąż za młodego lekarza z Zamojszczyzny wyjechała z rodzinnej Warszawy i przemieszkała prawie całe późniejsze życie w Chełmie. Kazimierz Andrzej Jaworski urodził się 28 listopada 1897 roku w Siedliszczu, osadzie położonej w pół drogi między Piaskami a Chełmem, gdzie jego ojciec prowadził praktykę lekarską. Ale już wkrótce rodzice przenieśli się do Chełma.

W odległym zaledwie piętnaście kilometrów od Chełma cichym i spokojnym Sawinie posiadał aptekę oraz dom z ogrodem magister farmacji, Stefan Iwanowski, mąż ciotki KAJ-a (siostry Edwarda). Przez kilkadziesiąt lat życie całej rodziny Jaworskich ogniskowało się właśnie w tych dwóch miejscowościach. I jeszcze pod koniec II wojny światowej dobiegający pięćdziesiątki założyciel „Kamienia” miał w przyjaznej przystani sawińskiego domostwa leczyć ciało i duszę po pobycie w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. To tam właśnie, u wuja Stefana Iwanowskiego, napisał pierwsze strony „Serc z drutem” — wspomnień z obozu. „Serc z drutem” dały początek wspomnieniomu czterdziestoletniemu, w którego skład weszły jeszcze, pisane w latach sześćdziesiątych — „W kregu Kamienia”, „Wywoływanie cieni” i „Koniec seansu”.

Z tych czterech książek KAJ-a najbardziej lubię „Wywoływanie cieni”. Może dlatego, że przeczytałem ją dopiero w wiele lat po śmierci pisarza, jako człowiek dojrzały i sam już wchodzący w „smugę cienia”. I dlatego również, że dzięki niej odkryłem całkiem nowego KAJ-a, że w miarę lektury musiałem zmieniać lub rewidować wiele poglądów o starszym, siwym panu, który wydawał mi się dotąd osobą dobrze znajomą. Jak barwnie potrafił pisać o swoim dzieciństwie i latach młodości! O okresie I wojny światowej, którą spędził wraz z matką jako „bieżeniec”, najpierw — kończąc gimnazjum w dalekich, zagubionych wśród pszenicznych pól Ukrainy, powiatowych Sumach, a potem — studiując przez dwa lata medycynę w Charkowie. Wędrowałem razem z nim poprzez sale Teatru Anatomicznego, słuchałem wykładów z fizjologii i farmakologii, pochylałem się nad podręcznikiem anatomii prof. Tonkowa. Tego samego Tonkowa, z którego w czterdzieści lat później korzystałem — już bez żadnej przenośni — jako student Akademii Medycznej w Lublinie; chociaż bardziej nowoczesna i precyzyjna była książka prof. Adama Bochenka.

Pachniała Ukraina. Fermentowała krew. Musiały przyjść te pierwsze, musiały przyjść najszczęśliwsze Wyznania, tak jak później spaść miały liście z drzew.

Wiatr niósł od stepów soczystych ziół oddechy. Mikroskop nużył oko. Skalpel wpadał z ręk. Maj naszeptował w ucho najniewinniejsze grzechy i jedno imię uparcie wydzwaniał serca gong.

Zielona wiosna nagita. Każdy zielony liść. Szumiały flagi nad nami. Deszcz złoty ze słońca stągwi. Zielono było nam kroczyć. Czerwono było nam iść przez świat zielony, czerwony w krwi serc i dumnych chorągwi.

Kto by się takich strof spodziewał po lekko przygarbionym panu, spacerującym z laszczką w chłodnym cieniu nałęczowskiego parku...?

KAJ kochał Tatry. Spędzał w nich prawie każdy przedwojenny urlop, pisał o nich wiersze. Ostatni przedwojenny, potrójny numer „Kamienia”, wydany tuż przed wakacjami 1939 r., był numerem „tatrzańskim”, poświęconym w całości problematyce górskiej. Był zarazem dowodem tego, jakie trudności musiał pokonywać Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniowski, aby utrzymać przy życiu znany już w całej Polsce poetycki periodyk. Pisał KAJ w „Notach”: „Szósty rok istnienia „Kamienia” dobiegł końca. [...] borykaliśmy się ostatnio z wielkimi trudnościami finansowymi, co odbijało się na punktualności w ukazywaniu się pisma. Zeszły niniejszy wyszedł jako numer potrójny tylko dzięki subwencji Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i częściowo dzięki zasilkowi Instytutu Lubelskiego. Dalsza egzystencja „Kamienia” jest pod znakiem zapytania. Zwracaliśmy się trzykrotnie do „Funduszu Kultury Narodowej” z prośbą o subwencję na wydanie pisma, ale mimo iż nie szło tu o tysiące, ale tylko o setki, stałe spotykaliśmy się z odmowną odpowiedzią. Nie zachwiałe to jednak naszego mniemania — oparte go na przychylnych głosach krytyki — że „Kamień” na skromnym odcinku swojej pracy do kultury narodowej pewien fundusz wnosi. Wypadałoby teraz „Kamień” podzielić los „Drogi”, „Pionu”, „Marcholta”, „Okolicy Poetów” i in. pism, dla których w dzisiejszych „kulturalnych” czasach nie znalazło się miejsca. Mimo wszystko jednak nie chcemy ustępować. [...] numer niniejszy zamyka szósty rocznik „Kamienia”. Zeszły pierwszy rocznik „Kamienia” ukazał się w końcu września rb.”

Upłynęło aż sześć lat, zanim ocalały z pożogi wojennej redaktor naczelny i zarazem wydawca mógł napisać, w 1945 r., w pierwszym numerze wznowionego — już w Lublinie — pisma, dalszy ciąg „Not”: „PO SZESCIU KRWAWYCH LATACH — nie, wie-

narodów słowiańskich, wylawia z całą życzliwością młode talenty, nie szkodzi, że może czasem zbyt tolerancyjnie. Przecież niejedyn autor słabych wierszy w przedwojennej „Kamieniu” zajmuje dziś niepoślednie miejsce na Parnasie naszej literatury. [...]”

Brzmiąca w tych słowach duma, ale także przepełniona była one troską. Bo nad „Kamień” zaczynały się powoli gromadzić chmury. Przyznana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki subwencja okazała się wkrótce niewystarczająca, pieniądze przychodziły nieregularnie, a to nie mogło się nie odbijać na terminowym ukazywaniu się miesięcznika. Coraz częściej przyjmował on postać podwójnych, albo i potrójnych, „zbiorowych” numerów, nomen volens przechodząc nieoficjalnie na status kwartalnika poetyckiego. Prawie całą robotę redakcyjną, wydawniczą i administracyjną załatwiał KAJ wraz ze swą przyszłą żoną, Teklą, bo Zenon Waśniowski już nie żył, zmarł w obozie koncentracyjnym. A powojenni, młodzi współautorzy — Jacek Bocheński i Jerzy Pleśniarowicz, a następnie Anna Kamińska, rozprzeczili się szybko po innych, nowo powstałych czasopiśmie literackich i kulturalnych.

W hitlerowskim obozie koncentracyjnym w Oranienburgu KAJ zetknął się z więźniami tam studentami czeskimi, dzięki nim pogłębił znajomość tego języka. Teraz dużo tłumaczył z czeskiego i słowackiego, co zresztą zaowocowało w 1949 r. dwiema nagrodami: polską i czechosłowacką za przekłady poezji czeskiej. Przygotowywał, pokonując piętrzące się przeszkody, numer specjalny, 83-84, poświęcony w całości twórczości Józefa Czechowicza. Jedyny w ciągu wielu powojennych lat zbiór wierszy tego wybitnego, wywodzącego się z Lublina, poety. Ten właśnie, wydany w 1949 r. „czechowiczowski” numer, był ostatnim, pięknie brzmiałym akordem „Kamienia” Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

Niestety, taka jest prawda: nikogo wtedy „Kamień” nie obchodziła — ani miejscowych władz, ani władz ministerialnych ani... tych poetów, którzy kiedyś stali do niej debiutanckie wiersze, a teraz — niejednokrotnie usadowieni na wysokich stanowiskach w kulturze — starali się jakby zapomnieć o dawnych latach. W jednym z ostatnich numerów KAJ wołał: „Często się słyszy utyskiwania, że tygodniki literackie traktują poezję po macoszemu, że zbyt mało poświęcają jej miejsca [...] myślny mieli przed wojną kilka pism poetyckich wychodzących jednocześnie, dlaczego dziś nie może utrzymać się jedno? I utrzymałoby się z pewnością, oparte na innych podstawach finansowych. Jakich? Trudno to powiedzieć. Jeden człowiek nie poradzi. [...] mogłoby być ambicją którejś ze spółdzielni wydawniczych — „Czytelnika”, „Książki” czy „Wiedzy”, aby tego rodzaju kwartalnik, a może i miesięcznik wydawał [...] Stworzyć prawdziwy, nie fikcyjny zespół „Kamienia”, z redaktorem naczelnym — poetą. Niżej podpisany nie rości sobie by-

Dokończenie na str. 4



najmniej pretensyj do tego, by objąć to stanowisko, zachowałby się chętnie miejscem w zespole i kierownictwem działu poezji słowiańskiej Chodźki mu bowiem „tylko o jedno: uratować „Kamena”.

Tak wołał KAJ. Ale tego wołania nikt nie słuchał, ani słuchać nie chciał. Dokonał jeszcze jednej próby ratunku: po przeniesieniu się z Chelma do Lublina zaczął pracować w „Sztandarze Ludu”, tu też od 5 listopada 1949 r. wychodził w soboty redagowany przez Kazimierza Andrzeja Jaworskiego dodatek: „Tydzień Literacki”. KAJ opatrzył go pod tytułem: Dawniej — „Kamena”. Chodziło o zachowanie tradycji pisma. Ale już po czterech numerach „Tygodnika Literackiego” pod tytuł ów zniknął.

„Kamena” odrodziła się w trzy lata później, dzięki inicjatywie Lubelskiego Oddziału ZLP, któremu przezwyciężyła wówczas Maria Bechzyca-Rudnicka. Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało tej odrodzonej „Kamencie” status „kwartalnika społeczno-literackiego”, pisma lubelskich literatów. „Kamena” pozostawała na stałe dotacji Wojewódzkiego Wydziału Kultury. Miało to być wydawnictwo broszurowe, w twardych okładkach i o formacie A-4.

Numer 1-2 (85-86 ze stycznia-czerwca 1952 r. miał na okładce wpisane w owal lubelskiego koziołka, wspinającego się na krzak winorośli. Okładkę projektował Franciszek Seifert. Ten jedyny (choć powinny być jeszcze połowę nr nr 3 i 4), wydany w drugiej połowie 1952 r. numer „Kamena”, podpisany był przez kolegów redakcyjnych, w którego skład wchodził: Feliks Araszkiewicz, Maria Bechzyca-Rudnicka, Konrad Bielski, Eugeniusz Gołębiowski i Zygmunt Mikulski, a przewodniczył mu redaktor naczelny — Kazimierz Andrzej Jaworski. Adres redakcji — jak za dawnych czasów: Lublin, ul. Bronowicka 14 m. 4. Czyli — mieszkanie KAJ-a. Dopiero potem redakcja usadowiła się w lokalu ZLP przy ulicy Granicznej.

W późniejszym okresie „Kamena” podpisywali Kazimierz Andrzej Jaworski i Maria Bechzyca-Rudnicka, a w 1956 r. także — Jerzy Mikke, jako trzeci (!) równorzędny redaktor naczelny. Mikke został skierowany w 1955 r. z Warszawy do „Kamena” jako rodzaj „doradcy” z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki. Widocznie ktoś tam „na gorze” wciąż nie dowierzał redaktorom z „przedwojennym stażem” prowadzącym już teraz miesięcznik z perspektywą przejścia na dwutygodnik społeczno-kulturalny (co nastąpiło w 1957 r.). Notabene po Październiku nazwisko Jerzego Mikke znikło ze stopki redakcyjnej. Wrócił do Warszawy, a ja poznałem go dopiero w szereg lat później, już jako radiowca i autora sztuki o Mochackim.

W 1960 r. kierownictwo redakcji objęła Maria Bechzyca-Rudnicka. KAJ wycofał się ostatecznie ze składu redakcji na początku 1963 r.

Umarł dziesięć lat później, 6 września 1973 r., na serce, w lubelskim szpitalu. Nie danym mu było zakończyć życia we własnym domu i na własnym łóżku, na prawdziwie ludzki, „prowincjonalny” sposób. Ale za to jego trumnę nieśli poeci. I młodzi dziennikarze, pracownicy pisma, które założył przed wielu laty.

Kiedy myślę o KAJ-u, to jawi mi się on jako poeta i nauczyciel. Jako mieszkaniec spokojnych domów i małych uliczek, wielbiciel cichych wieczorów spędzonych nad książką lub w gronie ludzi czujących literaturę. Jako młodzieniec chłonący wzrokiem niezmierny przestwór stepów i wdychający pełną pierśią czysty powiew płynący od gór. Ale przede wszystkim chyba — jako człowiek wytrwały: jego pasja do „Kamena” była imponująca; z jakim zapalem ją tworzył, z jakich opresji ratował, z jakich gruzów z uporem ją dźwigał!

Mirosław Derecki

# Poezja serca

Anna Łyczewska

NIE znałam go osobiście. Pierwsze nasze literackie spotkanie odbyło się dziesięć lat temu, na początku września 1973 roku. Byłam jeszcze uczennicą jednego z lubelskich liceów, gdy na lekcji języka polskiego nauczycielka poinformowała nas o śmierci Kazimierza Andrzeja Jaworskiego — nestora lubelskiej poezji, jednocześnie zadając zebranie informacji o nim i jego twórczości. Bez zbytniego entuzjazmu — przyznaję dziś — sięgnęłam po wiersze KAJ-a i moja ich ówczesna ocena także entuzjastyczna nie była. Dopiero kilka lat później, gdy stałam się posiadaczką dwunastu tomów PISM K.A. Jaworskiego, zainteresowałam się bliżej jego poetyckim dorobkiem.

Skromnie prezentuje się on w porównaniu z twórczością przekładową i wspomnieniową KAJ-a. Jeden tom wierszy, stanowiący przekrój twórczego zmagania się ze słowem przez ponad pięćdziesiąt lat, a grupujący większość utworów z pięciu przedwojennych i dwóch wojennych tomów; jakże to wydaje się niewiele w stosunku do tych pozostałych tomów jedenastu. Zafascynowanemu obcą poezją i prozą, przede wszystkim rosyjską i radziecką, zagłębionemu w pracy redaktorskiej i wydawniczej i w pracy pedagogicznej, jakże ciężko przychodziło znajdować czas na twórczość własną, oryginalną. Tym bardziej zasługuje na pochylene czytelniczego czoła — wszak wśród tych oryginalnych utworów jest wiele małych arcydzieł, poetyckich perełek.

Podstawowym tematem twórczości KAJ-a jest człowiek. Człowiek — część natury, przyrody, człowiek — bohater, człowiek — twórca kultury. Człowiek pracy i człowiek miłości. I wszystko jedno, czy Jaworski opiewa urok ukochanych przez siebie Tatr, pisze o sporcie, czy snuje filozoficzne rozważania na temat potęg natury — żywiołów ognia, wody, powietrza i ziemi. Na planie pierwszym pojawia się człowiek, problem człowieczeństwa, problem ludzkiej godności i ludzkiego szczęścia.

Jako przedstawicielka niewiast, czułych podobno na porwy serca, potrafiących intuicyjnie odczuć szepc miłości, chciałabym przekazać kilka swoich refleksji na temat miłosnej poezji KAJ-a.

Kobieta i uczucie do niej pojawiają się u Jaworskiego już w pierwszych utworach, nie stanowiąc jednak podstawowego w nich problemu. Służą poecie do podkreślenia skamandryckiego zachwytu nad życiem, młodością, przysgodą, czy też symbolicznego, odziedziczonego po modernizmie, przedstawiania śmierci.

Pierwsze dojrzałe wiersze poświęcone nieśmiertelnej w poezji miłości tworzył KAJ w okresie, który jakkolwiek twórczości nie sprzyjał — w latach okupacji hitlerowskiej. Jakże to jednak pasuje do tego poety — załzganego pacyfisty i czciela człowieka, w dodatku... zakochanego po uszy w swej drugiej żonie, Tekli. Jej też gros tych utworów poświęcił i dedykował.

Wstępem do tej części twórczości, wynikającym zapewne z zainteresowania literaturą zachodnioeuropejską, a konkretniej parnasyzmem francuskim i belgijskim, są Transkrypcje z „Pieśni Billitia” Pierre’a Louÿsa.

Stykamy się w nich z typową dla ostatnich dziesięcioleci dziewności wieku w literaturze

francuskiej modą na starożytność przeladowaną estetyzmem i zmysłowością. Niepokojąca fantastyka tych ośmiu wierszy sprawia, że intymne przeżycia młodej dziewczyny otacza nie tyle tajemniczość co mgła mitycznej scenarii.



Fot. M. J.

Cóż, kiedy trudno nazwać je stu-procentowo oryginalnymi...

W roku 1943, bezpośrednio po powrocie Jaworskiego z obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, powstają niemal równocześnie: poemat *Islandzki mech*, cykl wierszy pt. *Pieśni balwochwalcze* i wiersze różne (cykle *Gazele* i *Sładem Hafiza*, cykl sonetów *Otawa*).

*Islandzki mech* — jakby wyjęty z dorobku literatury skandynawskiej, z kręgu Ibsena — pełen jest mitów lodowej Północy. Siostra, córka Wikinga — ibsenowska Solveg czy Inga — symbol wulkanicznego uczucia, jest przewodniczką i muzą poety w wędrówce po pozornej krainie wyobraźni. Bo czy to nie tęsknota do niedostępnych w dni wojny Tatr, czyż nie owa druga miłość dają kształt słowu?

Lodowce Islandii z górskiego łańcucha przeżywanego uczuć i pokonywanego w walce żywiołu przeistaczają się w jeszcze jeden symbol, symbol uczucia i kobiety:

*Woda i ogień. Lód i skały.  
Tak, mnie urzekła twa ojczyzna:  
pod maską chłodu żar zachowały —  
to twoja wierna podobizna.  
(Twoja ojczyzna)*

Apostrofa *Do Erato* („I ja, Horacy, też wydzwignę w górę posąg”) świadczy o tym, jak wielką wartość stanowiła dla KAJ-a jego poezja miłosna. O ile, oczywiście, nie jest to gest kokieterii w stronę czytelnika, czyniony przez tego skromnego człowieka. Nawet jeśli, to niektóre z liryków rzeczywiście potrafią zachwycić, choć nie wiem, w jakim stopniu spełnia się proroctwo poety:

*I dędq wzdzięczni mi, że najtajlejsze  
najświatlejszych uczuć ich tłumaczę  
im na słowa,  
i będę z nimi wraz — po latach  
żywy jeszcze,  
dwugłosem czułych woąg szepcany  
socią od nowa.*

Do takich perełek miłosnych należy niewątpliwie cykl sonetów *Otawa*. Miłość, kobieta i mężczyzna, natura, wszechświat. Człowiek zjednoczony z człowiekiem, człowiek wtopiony w przyrodę, miłość owia-

na tajemnicą, odrealniona, „w półjawie i półśnie”.

Kobieta — poczucie bezpieczeństwa, ostoja godności ludzkiej, spokój i miłość. To wszystko w doskonale zorganizowanej, klarownej formie sonetu (którą to formę oparował KAJ niemal doskonale). I sonety z *Otawy* i wiersze z cyklu *Pieśni balwochwalcze* tworzy Jaworski pod widocznym wpływem miłosnej poezji dwudziestolecia, szczególnie Tuwima. Tu i ówdzie trafiają się także elementy młodopolskiego kultu miłości sielankowej. Mimo że z wytartymi zwrotami typowymi dla poezji miłosnej poprzednich epok styka się czytelnik w większości „bluźnierczych hymnów”, można i tu odnaleźć kilka małych arcydzieł, pełnych muzyczno-impresjonistycznego liryzmu (*Przed zaśnięciem*, *Fraszki I i II*, *Południe*, *Patrząc w lipiec* i inne).

Na kilka słów zasługują także dwa cykle wierszy pisanych pod wpływem starej poezji perskiej.

Szams ed-Din Mohammed Hafiz — słowik liryczny czternastowiecznej Persji stał się patronem obu cykli. On to był mistrzem miłosnego gazelu — wiersza lirycznego typowego dla literatury Wschodu. Na marginesie — w dorobku przekładowym KAJ-a znajdziemy także translacje utworów perskiego poety, matematyka i astronoma — Omara Chajjama (przełom XI i XII wieku).

Cykle: *Gazele* i *Sładem Hafiza*, poza zachowaną przeżyciem formą gazelu w pierwszym cyklu i pewnym specyficznym nastrojem w obydwu — tematyką odbiegającą od swych wzorców. Z znów spotykamy się z tatrzańskimi szczytami, górską przyrodą, występuje tu nawet odwołanie się do rodzimej tradycji literackiej.

Miłość, tak jak i w poprzednich utworach KAJ-a, jest tu uczuciem pięknym i szczytnym, choć uczuciem zwyczajnym. Jaworski-humanista miłujący piękno i ludzkie szczęście przenosi z perskiej przeszłości do swych liryków parę kochanków: kobietę — różę i poe — słowika. *Pieśń słowika* — Hafiza, z którym utożsamia poeta podmiot liryczny — poe, pozostaje poezją intymną, poezją marzenia, poezją pożądania. Jednocześnie jednak jest to hołd złożony poecie przez poe, który posłannictwo poezji, posłannictwo twórczości uzależnia od wrażliwości i wyobraźni poety. Szczególnie zaś, gdy tworzy on liryki o odwiecznym problemie ludzkości, o miłości:

*Splynał z wyżym dech  
i słyżę szepc: Hafizie, nie śnij  
i myślą nie ludź się zwodniczą,  
że jesteś twórcą własnej pieśni:  
na różę i na lili kwiatkach  
od propoczątku już prażwiata,  
a może nawet jeszcze wcześniej,  
w raju lili wzór jej tajemniczy.  
(Dech wyżym, cykl *Sładem Hafiza*)*

Słowa krytyka literackiego W. Kubackiego zakończą i w pewien sposób podsumują moje krótkie rozważania: „Często mówi się o nieśmiertelności poezji, o nieprzemijaniu piękna. Należy rozróżnić nieśmiertelność wzruszeń ludzkich, którym poeci dają wyraz w swych dziełach, nieśmiertelność takich problemów jak miłość, Bóg, przyroda, ojczyzna, ludzkość oraz przemijalność kształtów, symbolów poetyckich, przy pomocy których wypowiadają się poeci. W ten sposób, stwierdzając przynależność poety do pewnej epoki, nie kwestionuje się wcale „absolutnego” charakteru jego twórczości, jego poezji”.







# DEFILADA

Dokończenie ze str. 1

— Jasne — od razu zgodziła się Anna. — Widziałam go.

— No, co ty pleciesz, panienko, co ty pleciesz, przecież on już dawno nie żyje.

— Byłam jeszcze mała, ale pamiętam, jak szedł ulicą Mazowiecką w Warszawie, kierując się na plac Zwycięstwa, gdy przy Grobie Nieznanego Żołnierza odbywała się jakaś uroczystość.

Stary pułkownik patrzył na nią spode łba.

— Był w mundurze — dodała — i miał duże wazy.

— Jak ja? — zapytał podchwytliwie.

— Większe — odrzekła z przekonaniem.

— No, no — ustąpił i zamilkł na chwilę w poszukiwaniu utraconego wątku. — O czym to ja... Pewnie, że pamiętam. Jak przyjechałem, generał przyjął mnie bardzo uprzejmie i skierował na kwaterę do palacu Branickich. Było mało czasu na przedwzięcie defilady, a od tego miało się zacząć. Musiało być wszystko wedle porządku i żelaznego regulaminu. Na czele generał Rómmel, w pół konia z boku oficer ordynansowy, a za nim trębacz. Dziesięć kroków za tą grupą szef sztabu, a za nim w trzech krokach sztab. Z prawej strony szef Oddziału Operacyjnego — mjr Bokalski, obok z lewej szef Oddziału IV — Brzeziński, a z mojej lewej jeszcze dwóch oficerów. Za tą czwórką — wachmistrz i trębacz... Narysuję ci to, panienko, bo inaczej nic nie zrozumiesz.

— Jestem dość inteligentną dziewczyną — zauważyła.

— Ech — machnął ręką. — Każdej tak się wydaje, a potem tylko kłopoty z tego.

— Jakie kłopoty? — zainteresowała się.

— Babska inteligencja jest diabłem podszyta — wyjaśnił mruczając oczy i z zadowoleniem oglądając swój rysunek na kartce papieru. — Jak się nie nałoży takiej specjalnej uzdy i wędzidla, to z kobiety robi się chłop, albo jeszcze gorzej... Popatrz, panienko, to właśnie tak, o, widzisz?

Anna patrzyła na pułkownika i wydawało się jej, że matka bierze ją za rękę i prowadzi na wieczorny spacer. To miało być konieczne dla zdrowia i początkowo tylko nużyło, potem jednak nauczyła się od matki spozstrzegać ruch cieni wśród drzew, jakieś tam wydarzenia, czyjeś dramatyczne przygody. Chodziła coraz ochotniej, cieszyła się na każdy wieczór, a kiedy raz opowiedziała w domu, co się dzieje nocą wśród drzew, uznano zgodnie, że wyrośnie z niej kiedyś świetna bajkopisarka. Więcej już nie podejmowała takiej próby, wszystko zachowywała dla siebie i bardzo nie chciała z tego wyrosnąć.

Pułkownik wziął się teraz za kredki i malował swoją opowieść kolorowo.

— Zrobiło się w Białymstoku wielkie święto, bo przecież była masa kawalerii, co zjechała z całej tamtej okolicy od Bugu do Niemna. Na przykład 3 pułk szwoleżerów (miał złote otoki) przyszedł prawie spod Wilna, a tatarski pułk kawalerii z drugiej strony Białegostoku. Z Tatarami to dawna tradycja. Kiedyś moi panowie formowali z jeńców tatarskich swoje własne, takie prywatne wojska. Dziś już tylko resztki zostały, a wtedy było ich więcej. Mieli zielone otoki, półksiężyc na kołnierzu i napis po ich-

niemu „Allah jest wielki”, o tak. Buńczuk tatarski był przy poczcie sztandarowym i przy dowódcy każdego szwadronu. Tak, to było dziwnie, panienko... I były jeszcze inne pułki kawalerii, a każdy inny kolor otoków nosił na czapkach i na proporczykach. Artyleria konna miała czarne otoki i czarno-czerwone proporczyki na kołnierzach... Jak dziś to widzę, panienko. Było na co patrzeć i podziwiać: barwy, postawę ulanów, piękne konie, błyski szabel, a wśród pełnej ciszy słyszano się jedynie zdenerwowane długim oczekiwaniem zwierzęta — sapią, parszają, grzebią ziemię, czasem tylko przeleci przez szeregi metalicz-



Rys. M. Rybicki

ny odgłos zderzających się strzemieni. Mówię ci, panienko, pierwszy raz w życiu widziałem taką masę kawalerii, pewnie z osiem tysięcy koni. A pamiętam, że na prawych skrzydłach stały jeszcze poczty sztandarowe i orkiestry pułkowe. W kawalerii zresztą jest inaczej niż w piechocie: nie ma czyneli, nie ma bębnow dużego i małego, nie ma fletów ani fagotów. Są za to trąby, trąbki i perkusja w postaci kotłów, które stanowią główny akcent tempa — innego zupełnie niż w piechocie. Czy ty coś z tego słyszysz, panienko?

Słyszała, jak ktoś ją woła. Pewnie, że mogła się przesłyszeć — głos starożytnego kawalerzysty grał już na wszystkich trąbkach do defilady.

— Jeszcze tylko raz w życiu widziałem taką masę koni — westchnął. — W tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym, kiedy na krakowskich błoniach defilowało dwadzieścia pułków kawalerii, a defiladę odbierał marszałek Józef Piłsudski... Czy ty wiesz, panienko, kto to był marszałek Józef Piłsudski?

— Wielki Polak — powiedziała ostrożnie.

— Znałem większych — odrzekł. — Nie lubiłem go — jakby wyjaśnił swój krytyczny stosunek. — On mnie zresztą też — dodał i zachichotał pogodnie.

— Za co? — zapytała przez grzeczność.

Zrozumiał to, machnął ręką.

— Zostawmy — powiedział — już defilada blisko... Na dziesięć minut przed przybyciem Głównego Inspektora Kawalerii staliśmy już z gen. Rómmlem na prawym skrzydle, tu, po-

patrz, panienko, na prawym skrzydle całego ugrupowania przygotowanego do parady. Konie sztabu w białych getrach — bardzo to ładnie wygląda, a dla koni dobrze, bo zapobiega żyłakom. My, oficerowie, mieliśmy założone suspensoria ochronne, żeby przy klusie paradnym, tzw. wysiadującym nie uszkodzić sobie czegoś, co panienko wie. Albo nie wie, bo kobiety nie używają suspensoriów, jako że nie mają czego chronić... No dobrze. I wreszcie, panienko, godzina dziewiąta zero zero. Trębacze grają sygnał „Baczność! Prezentuj broń!” Od strony miasta pojawia się czarny Pakhard Głównego Inspektora. Gen. Rómmel w towarzystwie ordynansa podjeżdża w galopie i składa meldunek o gotowości dywizji do przeglądu. Inspektor rusza samochodem wzdłuż rozwiniętych pułków, a gen. Rómmel z lewej konno. Trębacze skrajnego pułku rozpoczynają hymn narodowy. Wtedy też sztab dywizji dołącza ze swoim generałem i cała ta grupa w krótkim klusie, to znaczy nie podnosząc się w siodło co drugi krok konia, kapujesz?, jedzie do-

lecz typu carrier, co niegdyś, z czasów bitwy pod Wiedniem, w ciężkiej kawalerii nazywano „rysią”. Czy ty wiesz, panienko, co to była bitwa pod Wiedniem?

— Jeśli chce pan powiedzieć, że brał w niej udział...

— To co, nie wierzysz?

Roześmiała się, ale śmiechem niepełnym, jakby w polowie zdławionym. Mogłaby uwierzyć, czemu nie, nie miało to nic do rzeczy. Historia przeszłości podchodziła tak blisko, z tak wielu stron, że poczuła się nią osaczona jak kolczastym żywopłotem — przyszłości nie było widać ni słyhać, mogła być tylko snem.

— Jedziemy dalej? — zapytał pułkownik.

— W którą stronę? Dalej za siebie? — skinęła głową.

— Zaczynamy na sygnał trąbki — wrócił do siebie pułkownik. — Odległość około tysiąca metrów. Zaskakujemy w galop — jeszcze spokojny, tak żeby cały pułk za nami szedł jednym tempem. Idziemy tak paręset metrów i nowy sygnał: „Do szarzy — lanca w dłoń — marsz, marsz!” Trębacz trochę kuksuje, bo trąbki w galopie, ale to nic. Publiczność jest także podniecona, że nikt tego nie zauważa. Lećmy w pedzie szalonym, tyle że my z dowódcą w dziesięć koni skręcamy pod trybunę, a oni, pułk za pułkiem, brygada za brygadą pędzą dalej. Ja swego konia pieszczę po szyi, bo jakżeż, niósł mnie pięknie, panienko, jak ojciec, jak brat, a tamci wał z krzykiem „hurra!” A potem Tatarzy — lance, buńczuki i groźny, wielki krzyk: „Allah! Allah!” — aż ciarki idą po grzbiecie — a konie prawie dotykają brzuchami ziemi, leca pacyniarni — nie daj Boże, żeby któryś koń się potknął — katastrofa! Ale nie, entuzjazm publiczności przekracza wszelkie granice — a my nic, jeno patrzem. Mówię ci, panienko, nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. I pewnie nie widzieli ci w obcych mundurach, co stali na trybunie z rozdławionymi gębami, a Niemiec aż zaczął szybko notować. Już zdawało się, że się kończy, a tu wali artyleria konna — w szyku rozwiniętym — wali jak w „szarzy artyleryjskiej” Bema. Wiesz, panienko, co Bem zrobił pod Ostrołęką?

— Pojęcia nie mam — przyznała się sennie.

— No, to posłuchaj, bo to genialne. Kiedy nasza piechota dostała pietra i zaczęła się wycofywać w nieładzie, a piechota nieprzyjacielska szła do ataku w zwartym szyku, Bem rzucił do przodu artylerię. Była to istna szarża. Konie pędziły w galopie, jak gdyby chciały się wderzeć, wbić w ciasne szeregi przeciwnika, ale w odpowiedniej chwili zwracały, zajeżdżały, kanyonierzy odwracali działa i razili wroga zmasowanym ogniem, masakrując zwarto maszerującą piechotę...

Anna spała. Kiedy wrócił ze służby, zobaczył ją niezbyt wygodnie wciśniętą w jego fotel i wuj podchrapującego z cicha wśród swoich wspomnień. Przysiadł trochę z boku, wpatrywał się w Annę i wcale nie żałował, że nie widzi jej granatowych oczu. Żałował czego innego, ale do tego nie chciał się przyznać nawet przed sobą samym.

Są takie dni (coraz rzadsze), kiedy wszystko jest ciche i nawet nasze zwykłe kudłate zmorki nie szczerzą swoich drapieżnych kłów: wtedy (coraz rzadszej), nie wieszcie czemu, powraca wiara, że czas bynajmniej nie zabiła, przeciwnie, utrwała stemplem spokoju nasze wieczne trwanie. I są inne (coraz częstsze), w których od rana nerwy wyją jak druty wysokiego napięcia, a każdy telefon przynosi niechybnie wieść o nowym w miasteczku lajdactwie. Wtedy najlepiej jest położyć się na tapczanie i patrzeć, jak na kolorowym szkicu wuj rozwija się kawalerska defilada w Białymstoku.

(fragment większej całości)

Eugeniusz Kabac

Zbigniew Kościński

## CIE NIE

**S**ZLIŚMY, trzymając się za ręce. Kwadratowy rynek drgał w księżycowym świetle. Ciemne, prawie czarne prostokąty trawników były miękkie, puszyste. Przechyliła i jakby ucięta wieża ratusza, rozdęta dołem, nikła w otchłani nieba.

kamena

6

Cienie nasze ślizgały się wesoło po ścianach kamieniczek.

Światła było niewiele. Tylko od księżycy snuły się długie, jasne pasma.

Milczeliśmy. Natomiast cienie — ruchliwe i zmiennie — biegły przed nami, tańczyły na ciemnym trawniku, zabiegały z boków lub gubiły się gdzieś z tyłu. Jeden z nich — większy i powolniejszy — kiwał poważnie zniekształconą głową i, wydłużony, dotykał wieży ratuszowej. Nawet wspaniał się na nią. Obydwa, splecione ramionami gestykulowały, krzychały coś do siebie bezgłośnie.

Nie zauważyłem, kiedy nasze ręce się rozłączyły.

Prawie czarne kwadraty trawników ciemniały

gęstym mrokiem, niby przepaściste, wielkie studnie. Wieża zdawała się chwiać, jak gdyby miała za chwilę runąć na bruk. Zwężone ku górze kamienice, roztopione wyżej w nieokreślony kształt, pocięte mrokiem, stały po bokach rynku jak bloki bazaltu.

Ale — cienie... Odkoczyły od siebie, a potem smutno wlokły się za naszymi plecami. Leniwsze, powolniejsze, nie gestykulowały, szły tylko oddzielnie — melancholijnie wydłużone. Za chwilę zbliżyły się wzajemnie, a potem zwały w jeden nieruchomy cień.

Spojrzałem w bok — nie było nikogo. I nie się zdziżyło...



Grzegorz Pernach

## CAMENA NAIWNA

a ja w tej nadziei  
że jeszcze tyle fortec  
tyle w kołczanie strzał  
że zbudzę świt po świcie  
przejdę wszystkie ulice  
z życiem jak płomyczek  
że przeżyję tysiąc lat  
da bóg tysiąc tysięcy  
a może jeszcze więcej  
a ja w tej nadziei  
że jeśli ktoś umiera  
to zawsze tak daleko  
i że ten ktoś to nie ja  
i nie ojciec nie matka

## CAMENA UMOWNA

cóż ja mistrzu norwidzie  
może ci tylko co raz  
ciszy jak kwiatów natę  
lub wierszem wypamiętam  
wiarę ludziom i bogu  
ich porzecz na maszcie  
bo cóż jest w poezji  
gdy między dobrem i złem  
jest zawarte przymierze  
i granicą jest ziemia  
bo cóż jest tu poezją  
gnój w stajni pegaza  
czy też łańcuch istnienia  
czy upadki czy wzloty

## CAMENA BOJOWNIKÓW

na pamięć  
pierwszą i drugą wojnę  
powstania i strajki  
na czerwień i biel  
apele poległych  
sztandary i hymny  
na stopnie i odznaczenia  
na-arkę przymierza  
na dzień i noc  
na wagę  
na wargi spragnione  
na miły bóg  
na oczy wszystkie kobiety  
oprócz tej jednej

## CAMENA NIEURODZAJU

wyszumiało się morze  
wypłowiło słońcem i deszczem  
niebo gwiazdami szyte  
bogini nawlekała chwile  
pegaz był wtedy u kowala  
potem wezbrała rzeką  
niewidomym wypłukała źrenice  
zasypała usta niemym  
i uszy głuchym  
później urodziła kamień  
kamień rósł na polu  
dojrzywał w sadach i ogrodach  
kochał się w domach i ulicach  
i wróżył ludziom z ręki



Rys. E. Inglot

## CAMENA SPOKOJNA

jak zatrzymana chwila  
jak lustro lodowatej  
wody jak groźna cisza  
jak oko renifera  
jak lufa pistoletu  
jak niespodziewana śmierć  
nie sposób jej poruszyć  
ciężka kamienna ręka  
ciężkie kotary powiek  
jak ołowiany pancerz  
a na zodiaku: strzelec  
nie sposób go poruszyć  
więc pegaz rwie wędzidło  
jak rejtan swoje szaty

## CAMENA JESIENNA

wiersz robaczek malutki  
tka pajęczynę krótko  
słowo wpada jak muszka  
czasem słońko zaświeci  
i kropelki jak nutki  
a czasem przejdzie człowiek  
listonosz na podwórku  
do skrzynki wkłada liście  
i orzech dla wiewiórki  
a pod czapką poezji  
kosmyk babiego lata  
o skronie się ociera  
wiatr ulice zamiata  
a czasem też literat

## CAMENA UROJONA

to tylko wyobraźni  
zręczna improwizacja  
tak rani skrzydło nożem  
ptak uderza o szybę  
i jak ryba trzeпоce  
ikar w morzu tonie  
pegaz zapalił skrzydło  
i cofa się pół kroku  
w półmrok poezji  
motyl nad świecą płonie  
jak koran na pustyni  
gdy słońcem złota pieczęć  
zamyka drzwi meczetu  
jak w łupinę orzech

## CAMENA ZNUDZONA

promień na drzewie słońca  
dojrzywał na uboczu  
na łące pasł się pegaz  
kobiety niosły wiadra  
pełne źródlanej ciszy  
z wiaderek zajączki  
biedronka tego roku  
nosiła kropek siedem  
paryż budapeszt wiedeń  
miesiąc tygodnie liczył  
i z baniek mydlanych  
miasta wznosił poranek  
sen wybudował dworzec  
na senne peżegnanie

## CAMENA COUNTRY

kosmopolitan country  
cowboy gra w dąbrowie  
contra janko muzykant  
cover girl zachwycona  
popija coca-cole  
haszysz rośnie na polach  
krowa jest dolarowa  
pastwisko częścią prerii  
i county contra powiat  
a pani się uśmiecha  
że łabędzie jelenie  
że gospoda remiza  
że maryna cover girl  
ucieka po drabinie

## CAMENA DESZCZOWA

z potoku moich burz  
z powodzi moich słów  
wyjęta jesteś pani  
dłoni gasnący promień  
odmierzył nasz wspólny czas  
nie czekać tam nie czekać  
w koronie palców  
wilgotne niebo  
układa się w tęczę  
nie patrzeć tam nie patrzeć  
kropla po kropli  
z liścia na liść na ziemię  
spływa twoja twarz  
nie deptać tam nie deptać

## CAMENA WOJENNA

cicha wybranka losu  
nosi naszyjnik łusek  
zapach prochu i potu  
jeszcze nikt tak nie kochał  
dziewczyny kulookiej  
jeszcze nikt tak nie prosił  
żebralo kilka osób  
o zgodę boga wojny  
bo pan bóg kule nosił  
szemrali na swój sposób  
cmentarzem wyobraźni  
przeszedł milczący pochód  
niejeden twarz odwrócił  
nikt nie odwrócił losu

## CAMENA RZECZOWNIKÓW

pokój — drzwi  
przedpokój — drzwi  
klatka schodowa — schody — drzwi  
chodnik — ulica — dom  
dom — dom — dom  
ulice — chodniki — drzwi  
klatki schodowe — drzwi  
drzwi



**P**OD pojęciem dominujących i modelujących Wszechświat sił rozumiemy zazwyczaj grawitację, reakcje jądrowe i chemiczne, pola elektromagnetyczne itp. Nie oceniamy we właściwych proporcjach zjawisk i przemian związanych z aktywnością biologiczną, która wniosła olbrzymi wkład w przekształcenia, jakie zaszły na powierzchni naszej planety.

Tymczasem życie rozumne, a zwłaszcza stosowana przez Istoty Rozumne technologia, jest w stanie dokonać bardziej radykalnych przekształceń planet. Jeszcze wyżej stojące formy zorganizowanej działalności technologicznej, oparte na rozumnej aktywności, mogą realizować jeszcze bardziej złożone i głębokie przemiany rzeczywistości, nie zatrzymując się na etapie najdoskonalszego przystosowania macierzystej planety dla swoich potrzeb.

Korzystając z zasobów energetyczno-surowcowych własnej planety, których ilość jest przecież zawsze ograniczona, nieznanne Istoty Rozumne nie mogą nie wiązać swej dalszej, wrażliwej aktywności z wykorzystaniem zasobów energetyczno-surowcowych najbliższych im ciał niebieskich.

Każda celowa aktywność tego rodzaju i wiążąca się z nią stopień zorganizowania prowadzą do zmniejszenia entropii, kładąc kres nie kontrolowanemu ubytkowi naturalnych źródeł energetycznych. Podejście takie znajduje już zastosowanie w naszych ziemskich warunkach, a jego znaczenie stale rośnie. Uruchowienie i efektywne wykorzystanie nowych, pozaplanetarnych źródeł energii i surowców wymagać musi znacznego powiększenia, unowocześnienia lub zmodernizowania istniejącego potencjału technologicznego, a także zwiększenia ilości używanej przez taką cywilizację energii. Brak granic skali możliwości efektywnego wykorzystania technologii wydaje się być przy tym oczywisty. Niezrozumiałe jest przede wszystkim sugerowanie jakichkolwiek ograniczeń w tej dziedzinie.

Kolonizując „skok po skoku” macierzysty układ planetarny, nieznanne Istoty Rozumne dojdą chyba kiedyś do wniosku, że albo poświęcą się opracowaniu i opanowaniu na skalę galaktyczną metod i sposobów wykorzystywania zasobów energii gwiazd, gromad gwiazdowych i chmur gazu międzygwiazdowego — co mogłoby przedłużyć „życie” do niewyobrażalnie długiego czasu — albo też zasoby te ulegną wkrótce nieodwracalnemu rozproszeniu. Oczywiście, technologia ograniczona jest prawami fizyki i nie może — ze względu na grawitację — przeprowadzić większych zmian w Galaktyce. Jednakże manipulowanie pojedynczymi gwiazdami, a nawet gromadami gwiazd, wydaje się być w pełni możliwe. Wykorzystując energię powstałą z kontrolowanej aktywności gwiazd, supercywilizacja może przedłużyć czas swojego istnienia na tyle, że stanie się dominującą formą inteligentnego życia w Naszej Galaktyce.

Byłoby rzeczą bardzo dziwną, gdyby po upływie paru miliardów lat, coś takiego się jeszcze nigdzie nie wydarzyło.

„Mnie nieodwołalnie czas, kiedy niebo rozświetlały biliony słońc nieujarzmionych, gorących i jasnych. Przemienie też i okres, w którym większość naturalnych procesów występujących we Wszechświecie wiązało się z technologią. Gdyby nawet w sposób niezwykle oszczędny i bardzo rozważny supercywilizacja wykorzystywała zasoby energetyczne gwiazd, i tak nie będzie to trwało dłużej, aniżeli kilkanaście miliardów lat. Po tym okresie energia gwiazd wyczerpie się — nieodwołalnie rozpraszając się w przestrzeni — a tym samym możliwość korzystania z tego źródła przestanie istnieć. Nieprzebrane ilości energii będą się natomiast znajdować w licznych wówczas „czarnych dziurach”. Tak więc, gdyby udało się opracować metodę energetycznego wykorzystania „czarnych dziur”, to w zmierzchu świecenia gorących gwiazd może rozpocząć się całkiem odmienny etap ewolucji Wszechświata...

Z tegorocznych obliczeń wynioskowano, że gdyby doprowadzić do zderzenia (koalescencji) dwu nie rotujących „czarnych dziur” — wówczas aż 29 proc. ich sumarycznej masy powinno zamienić się na energię! A więc z dwu „czarnych dziur” o masie naszego Słońca wydzieliłaby się — w procesie ich koalescencji — energia równa mniej więcej tej ilości, jaką by wypromieniowało kilkudziesięć energetycznie podobnych do Słońca gwiazd, przez cały okres swojego istnienia!

Z zastosowania „czarnych dziur” do tych celów płynie dodatkowo jeszcze jedna korzyść, ta mianowicie, że każda, nawet najmniejsza „czarna dziura” może być powiększona bez żadnych ograniczeń poprzez dostarczanie do niej wszelkiego rodzaju odpadów. Metoda ta stanowiłaby idealny niemal sposób magazynowania energii, gdyż z „czarnej dziury” niemożliwa jest emisja energii na zewnątrz w jakiegokolwiek bądź postaci. W każdym kolejnym procesie koalescencji wyzwolana byłaby energia równa 29 proc. masy łącznych układów, która to masa mogłaby być potem powiększana przez dodatki dowolnych materiałów.

Nikt oczywiście w tej chwili nie wie, w jaki sposób można byłoby dokonać połączenia dwu „czarnych dziur” oraz jak pozyskać w ten sposób i zmagazynować wolną energię. W każdym razie, gdyby supercywilizacja udało się zrealizować te metody, wówczas mogłoby przedłużyć czas swojego istnienia na okres znacznie dłuższy, niż okres istnienia gwiazd.



Rys. E. Inglot

Nasz życiosprawczy Wszechświat, który stworzył biliony żywych bytów, skazał je jednocześnie na śmierć, jako że każdy żywy obiekt w naszym materialnym Wszechświecie może istnieć tylko przez czas ograniczony. Potem musi ulec śmierci, musi się skończyć... Nic bowiem — cokolwiek by tu powstało — nie może istnieć dłużej od okresu istnienia Wszechświata i nie jest w mocy go opuścić, gdyż musiałoby się poruszać z szybkością większą od prędkości światła.

Także wszelkiego rodzaju cywilizacje Istot Rozumnych są tylko przez czas ograniczony obserwatorami, świadkami i ewentualnie sędziami świata. Gdyby były nawet nie wiedzieć jak technologicznie sprawne, inteligentne i operatywne — mogą jedynie odwlec w czasie chwilę swojej śmierci, ale nie mogą jej uniknąć.

Jeśli Wszechświat zawiera znacznie więcej materii, aniżeli jej obecnie obserwujemy, to zdarzy się na pewno, że po niewyobrażalnie długim okresie czasu zacznie się kurczyć (tzw. „drugi suw”).

Gdyby Wszechświatowa Cywilizacja Kosmiczna, używając wszystkich dostępnych sobie metod, środków i sposobów — zdołała nawet przetrwać w jakiś sposób katastroficzny okres kolapsu grawitacyjnego Universum, to na pewno nie zdoła przeżyć chwili kolejnego Wielkiego Wybuchu, kiedy to wszystko, cokolwiek by istniało w kolapsującym Wszechświecie, przestanie istnieć we mgle tworzenia Nowego Universum.

Ten niewątpliwie tragiczny scenariusz — kres Wielkiej Myśli i Technologii — opracowany został w oparciu o dominującą część współczesnych danych astronomicznych. Zastanówmy się jednak, czy nie można byłoby go zakwestionować?

Przedstawiona niżej wersja scenariusza odznaczać się będzie wysoką niepewnością. Ponieważ jednak w tym przedmiocie nic nie wiadomo, należy przede wszystkim przyjąć, że według posiadanej przez nas wiedzy i zdobytego doświadczenia jeszcze a priori do prawdy najbardziej może być zbliżone.

Przyjmujemy więc, że Ziemia ukształtowała się w sposób najbardziej „zwyyczajny”. Uznajemy zatem za najbardziej prawdopodobne, iż mamy tu do czynienia z jednym ze światów, które najliczniej powtarzały się w Kosmosie, a tutejsze warunki obowiązują również na elementarnym poziomie materii w całym Wszechświecie.

Już dawno temu w jakimś miejscu w Kosmosie powstać więc mogli podobny naszemu, obdarzony potencją biologiczną świat, gdzie ewolucja rozwijająca wzmocniła wynalazczość spowodowała w końcowym efekcie powstanie stworzeń rozumnych. Nie ulega wątpliwości, że rozumotwórcza działalność doprowadziłaby je kiedyś do uświadomienia sobie owego fatalnego przeznaczenia, że w materialnym Wszechświecie — świecie wysiewanych bezpłodnie w próżnię pierwiastków, ograniczonych możliwości, świecie cierpienia i śmierci — istnieć można tylko jakiś czas, po którym musi nadejść nieuchronnie koniec ostateczny. Jednym z możliwych do pomyślenia następstw tego stanu rzeczy mogłoby być zainicjowanie intensywnych poszukiwań środków i sposobów, zdolnych skutecznie — przeciwdziałając spełnieniu się tego tragicznego scenariusza.

Jednym, a może nawet jedynym sposobem „wyzwolenia się” z materialnego Wszechświata może być dążenie do przekształcenia jakichś jego komponentów w taki sposób, który posłużyłby do budowy struktury o niespotykanych nigdzie dotąd w świecie materialnym właściwościach. Struktury, która w możliwie najmniejszym stopniu reagowałaby z otaczającymi ją zewsząd cząstkami i polami materialnymi, a zatem w jak największym stopniu pasywnie na oddziaływanie pól elektromagnetycznych i grawitacyjnych, promieniowania oraz wszelkiego rodzaju obiektów i układów materialnych. 1) Oczywiście jest, że realnie przedsięwzięcia w tym przedmiocie mogłyby podejmować tylko wysoko rozwinięte, wyposażone w odpowiednią technologię Istoty Rozumne.

Osiągnięcie takiego celu oznaczałoby oczywiście początek stworzenia nowego, sztucznie sporządzonego, „nie-materialnego” świata, którego wszystkie parametry i właściwości byłyby od samego początku znane, a inne jego cechy mogłyby być rozumnie modelowane — między innymi w taki sposób, by nowy, sztucznie wytworzony Kosmos mógł uzyskać z czasem całkowitą i absolutną niezależność od Wszechświata cząstek materialnych, nie „dzie-dzicząc” żadnej z jego cech.

Taki właśnie, sztucznie wysyntetyzowany z cząstek materialnych naszego Wszechświata, „nie-materialny” Kosmos mógłby istnieć w naszym materialnym Wszechświecie, dosłownie wewnątrz niego, przy czym obydwie te Kosmosy nie wchodziłyby między sobą w żadne interakcje.

Jeśli próby stworzenia sztucznie wysyntetyzowanego, niezależnego od materii, Kosmosu nie okazałyby się czystą utopią i jeśli możliwości umysłowe i technologiczne wysoko rozwiniętych Istot Rozumnych byłyby w stanie sprostać takiemu zadaniu, to z więcej niż jednego powodu sądzić należy, że ich główne dążenia zmierzałyby do zbudowania takiej właśnie fortecy. Stworzony rozumotwórczym wysiłkiem „nie-materialny” Kosmos mógłby bowiem stać się nie tylko nieskończenie istniejącym azylem dla istot przetransplantowanych tam z materialnego świata, azylem chroniącym je od „twardego” wpływu nie zawsze przychylnego wyrafinowanym bytom materialnego Wszechświata. Równocześnie mógłby stać się dogodnym miejscem wielopoziomowego rozwoju najlepszych, najbardziej wartościowych i pożytecznych tam struktur „archaicznego” świata materialnego...

Wielki Wybuch zapoczątkował chaotyczny wysiew w próżnię pierwiastków, z któ-

rych utworzyły się protoplanetarne mgławice. Droga kondensacji wykreowały się planety; tylko niektóre z nich okazały się cząskowo uprzywilejowane biogenetycznie, a już mikroskopijny ich ułamek dał trwały początek archaicznym formom życia, sprzyjając późniejszemu powstaniu — w przypadkowych, chaotycznych i losowych momentach i sytuacjach — kreacji bardziej zaawansowanych struktur życia, niezwykle bogatych w swej różnorodności.

Wielka liczba gatunkotwórczych prób ewolucji nakierowała niektóre struktury żywej materii do stosowania wynalazczości — nie tylko jako taktyki przetrwania, ale przede wszystkim jako sposobu wykraczania form żywych z jakiegoś środowiska w inne, zupełnie inne. Był to najpewniej początek silnej presji na rozwój układu nerwowego, niezwykle ważnego organu umożliwiającego szybką adaptację do „nowych sytuacji”.

Sprawne i niezawodne funkcjonowanie systemu nerwowego jako całości jest zapewnione głównie dzięki organizacji połączeń między jego poszczególnymi — zawodnymi — elementami. Ewolucja, działając metodą prób i błędów, „odkryła”, że niezawodny system złożony z zawodnych elementów można zbudować zwiększając liczbę elementów systemu i tworząc liczne wzajemne połączenia między tymi elementami. Zastosowanie tej metody zapewniło sprawne i niezawodne funkcjonowanie najbardziej wyrafinowanego i skomplikowanego układu materialnego — mózgu, będącego końcowym wynikiem funkcyjno- i kształtostworczych prac ewolucji.

Złożona, charakterystyczna tylko dla człowieka, struktura mózgu spowodowała, że jego sytuacja stała się nadzwyczajną i wyjątkową. Nie przystosowuje się on już bowiem do istniejącego środowiska, jak to zwykły na ogół czynią wszystkie inne organizmy, a wykazuje wyraźną tendencję do alienowania się z otaczającego świata, kreując własne, sobie tylko znamiennie i wygodne warunki środowiska. Zdumiewające i niepojęte (obecnie) jest to, że składający się z materialnych składników mózg ludzki nie podlega ściśle materialnym ograniczeniom, zdolny jest tworzyć elementy i struktury nigdzie dotąd w świecie materialnym niespotykane i nigdy przed tym nie istniejące! Ta niezwykła właściwość naszego mózgu przesądziła, zdaje się, o tym, że w tak wielkim stopniu ukształcił się „pierwotny” świat, zapelniając go coraz to szczelniej nigdy dotąd tu nie istniejącymi wytworami naszego umysłu. Przyszłość natomiast jawi się nam na ogół jako całkowicie poddany naszej władzy i woli, wolny od cierpienia, śmierci i lęku świat — Wszechświat całkowicie dostosowany do naszych, nawet najbardziej wymaganowanych, pragnień...

A do tego celu może nas zaprowadzić tylko wiedza — bo innej drogi nie znamy.

1) Częścią elementarną bardzo „niechętnie” wchodzącą w interakcje z materią jest nie posiadające ładunku elektrycznego ani też tzw. masy spoczynkowej — neutrino. Gdyby zbudować mur z ołowiu — jednego z najbardziej nieprzenikalnych, znanych nam materiałów — o grubości równej odległości między Ziemią a Sycylią, to neutrino mogłoby przeniknąć taki mur bez zderzenia się z jakimkolwiek z atomów. Ta kapitalna właściwość tych cząstek sprawia, że choć w każdej sekundzie nieustannie przenikają one naszą planetę na wylot, nie wywołują żadnych efektów i są prawie nie do wykrycia.

**Bibliografia**

Sciama D. W., „Kosmologia współczesna” (tłum. z angielskiego), Wa-wa 1975 r.

Matycka A., „Relatywistyczna wizja nauki”, Wrocław 1980 r.

Neugebauer O., „History of Ancient Mathematical Astronomy”, New York 1975 r.

Iwanowska W., „Trzydzieści pięć lat 10 astronomii”, Problemy 1980 r. nr 10.

Mossowski J., „O współczesnej teorii ewolucji, czyli biologii ewolucyjna wg E. Mayra”, Problemy 1978 r. nr 2.

Ulam S. M., „Nieskończoność” (tłum. z ang. B. Sadowski), Problemy 1978 r. nr 3.

Werte J., „Fizyka jako model społeczności nowatorskiej i postępowej”, Problemy 1978 r. nr 2.

Hawking S., „Kolaps grawitacyjny — kwestia determinizmu”, Phys. Rev. D. 1977 r. nr 14.

Zuckerman B., „Międzygwiazdowe cząsteczki” (tłum. z ang.), Nature 1977 r. nr 1.

Wykorzystano także tłumaczone z angielskiego poglądy na naukę i Wszechświat wybitnego specjalisty biologii molekularnej, laureata Nagrody Nobla prof. Françoisa Jacoba, zaczerpnięte z jego wykładów wygłoszonych w latach 1967-77 na Uniwersytecie Berkeley a także dane z wykładów C. Sagana „Wprowadzenie do astronomii”.



# KLESKA URODZAJU ZWYCIĘSTWO BAŁAGANU

Dokończenie ze str. 1

twórcie Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych, chłodnie składowe, zakłady przetwórstwa owocowo-warzywnego podległe Ministerstwu Rolnictwa — wszyscy od początku do końca ubiegłego sezonu byli przygotowani na skup surowca w granicach 500 tys. ton, czyli tyle, ile skupowano w poprzednich przeciętnych sezonach.

Tymczasem już od końca sierpnia zaczęły się zalewy owoców. Skup dławił się. Nie przyjmowano nawet owoców zakontraktowanych. Ci sadownicy, którzy regularnie nie wywiązywali się z umów, teraz deklarowali podwojoną ilość. O przyjmowaniu owoców spoza kontraktacji nie było mowy.

Barierą nie do pokonania stał się brak opakowań. Tylko ten, kto dysponował własnym zapasem skrzynek, mógł liczyć na odbiór. Błyskawicznie znikły zapasy skrzynek w spółdzielniach. Co bardziej przedsiębiorcze spółdzielnie zaczęły gorączkowo poszukiwać producentów skrzynek, ale czas naglił, zbliżały się przymrozki.

Pomyślano o eksporcie. Kierunek eksportu był jeden — tylko do ZSRR. Utrudnione przez stan wojenny kontakty eksportowe oraz nie mniejsza nadprodukcja owoców w Europie Zachodniej wykluczała zbyć w tamtej strefie.

Wschodni sąsiad był chłonnym odbiorcą, ale podobnie jak w obrocie krajowym przeszkoda okazał się brak opakowań. Szybko wyczerpały się zapasy skrzynek drewnianych oraz wiórowych, ścięgnięto do tekturowych kartonów, ale i tych było zbyt mało. Razem ze skrzynekami plantatorów udało się w ciągu kilku miesięcy wystąpić 150 tys. ton. Ale gigantyczne przemyśle jabłek i śliwek w czolowych rejonach sadowniczych nadal czekały na odbiór.

W tej sytuacji przypomniano sobie o gorzelniach. Zakłady produkujące wodę ognistą pracują tradycyjnie na dwóch surowcach — zbożu i ziemniakach. Rok ubiegły był chudy w obydwu tych płodach: plon przeciętny, ceny wysokie, wstrzymany import, minimalny skup, gdyż rolnicy trzymali zboże i ziemniaki jako swoistą lokatę kapitału.

Gorzelniom groziła więc tzw. luka produkcyjna, ale na propozycję uruchomienia produkcji z jabłek i śliwek gorzelnie odpowiedziały grymasami: oprócz małej wydajności spirytusu z kwintala owoców urządzenia gorzelni bardzo uciążliwa na skutek dużego stężenia kwasów. Ponadto mogą nastąpić uszkodzenia mechaniczne przez pestki śliwek. Tymczasem setki tysięcy ton owoców przemysłowych, głównie z małych sadów przydomowych, nadal czekały na odbiór. Niszczenie tak olbrzymiej masy surowca stwarzało nadzwyczaj paskudny klimat społeczny wokół tej sprawy. Po kilku tygodniach targów i przetargów, dotyczących głównie troski o urządzenia, ale także o cenę litra spirytusu wyprodukowanego z owoców, gorzelnie zdecydowały, że ruszą.

Zostawmy je na razie ich własnym kłopotom i spójrzmy, co w tym czasie działo się na rynku owocowym. A działo się nieciekawie. Panowała dziwna anomalia: nadmiar owoców i krzepko trzymające się wysokie ceny wolnorynkowe, zwłaszcza w dużych aglomeracjach. Spółdzielczość płaciła producentowi (jeśli już łaskawie odebrała jego owoce) po około 18 zł. Oczywiście utrzymanie całej maszyny spółdzielczej, z jej faktycznymi kosztami oraz marżami powodowało, że w sklepach jabłka kosztowały po 28—30 zł, ale na bazarze po 35 i 40 zł. Takie ceny obowiązywały w rejonach sadowniczych, bo w wielkich aglomeracjach Polski zachodniej jabłka były jeszcze droższe.

Wspaniale żniwo zbierali sklepikarze. Oto przykład: w Krakowie, Wrocławiu, Katowicach, Szczecinie i Gdańsku funkcjonują wielkie targowiska hurtowe, gdzie sadownicy własnym lub wynajętym transportem przywożą owoce i sprzedają je hurtowo sklepikarzom. Otóż od jesieni do wczesnej wiosny sklepikarze twardo trzymali cenę dla producenta: 15—18 zł, aby po przewiezieniu jabłek do swego warszawianka wystawić cenę 40 zł! Nie należały do rzadkości sytuacje, kiedy producent stał na gładzie cały tydzień, a w końcu doczekać się owych 15—18 złotych od sklepikarza.

Tylko nieliczni wychodzili lepiej z dyktanda przywaciarzy i słabości aparatu skupu. To ci, którzy dysponowali własnym transportem, zapasem opakowań oraz dużymi przeciłowalnikami. Mając wieloletnie kontakty z przywaciarzami ze Szczecina, Gdańska, Wro-

clawia lub Opola, po przetrwaniu jesiennej spiętrzenia owoców, zimą i wczesną wiosną systematycznie dostarczali owoce do tych rejonów po cenach hurtowo wyższych, np. wiosną br. nawet już po 30 zł. To ci również, którzy mając zapas opakowań i własny transport, dostarczali owoce na eksport bezpośrednio na punkty przeladunkowe na granicy wschodniej. Kilogram jabłka zamykał się im w 47 zł, co po obliczeniu wartości skrzynek dawało po około 38 zł. Ale to byli bardzo nieliczni w ogromnej rzeszy sadowników.

W tej sytuacji na wolnym rynku panował niepodzielnie przywaciarz, a w aparacie państwowym — spółdzielczość ogrodnicza oraz gorzelnie. Spółdzielnia płaciła po 18 zł, dopiero pod koniec zimy podniosła cenę na 23 zł za kilogram. Do ZSRR wyeksportowała 150 tys. ton, od początku do końca placąc plantatorom po 21 zł. Dodajmy, że byli to również nieliczni szczęśliwcy, którym udało się „zalać” na listę eksportową.

W ten sposób musimy znów powrócić do gorzelni. Początkowo płaciły one po 6—8 zł, aby z upływem miesięcy dojść do 14 i 16 zł za kilogram jabłka. Przy tych ostatnich cenach, konkurencyjnych nawet dla cen dawanych przez przywaciarzy, gorzelnie zapewniły sobie dostateczną ilość surowca na cały okres ich kampanii przetwórczej. Ostatecznie przerobiły 650 tys. ton owoców, co stanowi 42 proc. całego ubiegłorocznego skupu w pionie spółdzielczości ogrodniczej. Uratowały przed zniszczeniem owoce wartości około 6 mld złotych.

Znalazły się jednak w sytuacji tego, kto ma za dużo, a jest to pozycja w naszej gospodarce niekorzystna, a nawet niebezpieczna. Kiedy brały się do przerobu owoców, Ministerstwo Finansów ustaliło im cenę spirytusu owocowego na 360 zł. Gorzelnie jednak, dysponując dużymi zapasami melasy, bardzo wydajnej przy produkcji spirytusu, zaczęły dodawać ją do produkcji spirytusu owocowego, zwiększając w ten sposób uzysk wody ognistej z jednostki masy owocowej i zmniejszając straty powodowane przez nadmiar kwasów korodujących urządzenia oraz przez uszkodzenia mechaniczne powodowane przez pestki śliwek.

Ale już zimą, na długo przed zakończeniem sezonu przetwórczego, poszła szeptana wieść, że minister finansów widzi za duży zysk gorzelni na litrze spirytusu owocowego uzyskiwanego z dodatkiem melasy. Wiedząc o tym, większość gorzelni na własną rękę zwiększyła cenę skupu jabłek, ostatecznie aż do 16 zł, a nawet w zachodnich i północnych rejonach kraju do 18 zł. Zmniejszyły w ten sposób zysk jednostkowy. To jednak nie uratowało ich przed „domiarem”. Oddajmy w tym miejscu głos człowiekowi najbardziej kompetentnemu w tym temacie — dyrektorowi Wojciechowskiemu, szefowi Przedsiębiorstw Przemysłu Rolnego PGR w Lublinie, pod którą to nazwą skupia się m.in. jedenaście gorzelni w regionie lubelskim.

— To co powiem, proszę potraktować jako polemikę z ministrem finansów. Otóż po kilku tygodniach od zakończenia naszej kampanii „przyłożył” gorzelniom po 80 zł podatku za każdy litr spirytusu owocowego. Pomijam już sprawę wydania zarządzenia o działaniu wstępnym w czasie. Chcę jednak powiedzieć, że po sezonie musieliśmy wymienić pięć głównych urządzeń technologicznych, zartych przez koronę, co zupełnie nie interesuje pana ministra. Po 360 zł za litr, produkcja bez dodania melasy po prostu się nam nie opłaca. O co tu toczyć spór, skoro, po pierwsze, dzięki gorzelniom ocalało 650 tys. ton owoców w kraju, a po drugie, minister finansów za nasz spirytus inkasuje w sklepie około 3,5 tys. złotych? Ale to nie wszystko. My produkujemy spirytus do 94 proc., po czym Polski Monopol Spirytusowy w trakcie rektyfikacji do 98 proc. odciąża z niego tzw. fuzle, czyli cenne olejki eteryczne, których wartość z jednego litra jest równa cenie płaconej gorzelniom za litr spirytusu.

— Można więc powiedzieć — przyzwyczajam dyrektorowi — że jest pan szefem jedenastu kopalni złota, balansujących na granicy nieopłacalności. Podczas narady w Urzędzie Rady Ministrów z okazji 10-lecia Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia padła oświeceniowa kwota uzyskana w ub. roku ze

spożycia alkoholu: 300 miliardów złotych. Kwota wręcz niewiarygodna. Dochodzą do tego jeszcze kwoty z eksportu. „Polish wodka” to przecież firma.

— Otóż ostatnio nie. Utraciliśmy wiele rynków zbytu. Nasz spirytus owocowy jest, niestety, gorszy od ziemniaczanego i zbożowego. Teraz na rynkach zachodnich przeważają alkohole radzieckie. Sytuacja na dziś jest taka, że mamy pełne zbiorniki spirytusu, a nowy sezon już się zaczyna.

— Tymczasem, idąc z wizytą do znajomych, coraz częściej jestem częstowany bimbrem, którego jakość wzrasta z miesiąca na miesiąc, mimo że i moje wymagania sublimują się w miarę nabierania doświadczeń. W wielu zaprzyjaźnionych domach produkcja wzniósła się na szczyty artyzmu i natchnienia...

— Cóż w tym dziwnego — jowialnie kwituję moje zachwyty dyrektor. — Polak patrafi. Przyczyn niech pan szuka w cenie i tylko w cenie...

Po rozczarowaniach z ubiegłego sezonu przemysł gorzelniarzy nie kwapił się do nowego przerobu z udziałem owoców, tym bardziej, że zapowiada się dobry urodzaj na ziemniaki. Gdy w pierwszych dniach sierpnia rozmawiałem w tej sprawie z naczelnikiem wydziału skupu Centrali Spółdzielni Ogrodniczych i Pszczelarskich w Warszawie, B. Adaszewskim, zostałem poinformowany, że spółdzielczość ustaje wciśniętą gorzelniom wiele ton śliwek uleny, ale te operują się. Był to okres maksymalnego wysypu uleny — już zaczynała gnść. Dopiero po kilku dniach dowiedziałem się od dyr. Wojciechowskiego, że gorzelnie ruszają; wprowadzono wyższą cenę za spirytus ze śliwek uleny (300 zł); za spirytus owocowy nadal utrzyma się cena 360 zł (jednak z dodatkiem melasy). Nie wiadomo tylko, jak to będzie z podatkiem.

Tak więc nowy sezon zaczął się od tradycyjnych zgrzytów i opóźnień. Gorzelnie mają przerobić około 450 tys. ton owoców. Całość tegorocznego skupu w rezerwie CSOIP prognozuje się na 1100 tys. ton, czyli tylko o kilkadziesiąt ton mniej niż w ubiegłym roku.

— Co spółdzielczość robi — pytam naczelnika B. Adaszewskiego — aby nie powtórzyła się ubiegłoroczna klęska urodzaju? Co z opakowaniami, jakie plany eksportowe?

Z jego odpowiedzi wynika nieźbiecie, że nadal będzie obowiązywała zasada: ratuj się kto może. Opakowania: mamy 50 proc. pokrycia na eksport. Wystąpiliśmy o zgodę na eksport w kartonach.

Skoro w ubiegłym roku poszło bezpowrotnie z eksportem kilka milionów sztuk skrzynek litych i wiórowych, co więc spółdzielczość zrobiła przez zimę, aby uzupełnić te braki? Dowiaduję się, że praktycznie nie zrobiła nic. Przybyło trochę opakowań, ale nie tyle, żeby przynajmniej uzupełnić ubiegłoroczne ubytki. Ze zdumieniem słyszę, że spółdzielni nie wolno zgromadzić tylu skrzynek, aby wystarczyć na planowany skup, gdyż i ten sezon jest nietypowy, nadprodukcyjny. Zwykle spółdzielczość skupuje po około pół miliona ton — co stanowi od lat przeciętny skup — gdy więc nastąpi zbior powróci do normy, wówczas zapas nie wykorzystanych opakowań skłoni bank do nalożenia na spółdzielczość ogrodniczą podatku, a to pociągnie konsekwencje służbowe wobec tych, którzy wydali decyzję o zapasie opakowań. Nikt więc takiej decyzji nie podejmie.

Znów więc fiskus obezwładnia ludzi, decyzje i działania. Jedyną nadzieją, to powrót do „normalnych” urodzajów. Wszystko, co wystaje ponad ukończoną i opanowaną, jest wrogiem nr 1 dla spółdzielczości ogrodniczej.

Podobnie nienawistnie podchodzi się w ogromnym gmachu przy ul. Wareckiej w Warszawie do innych nienormalnych zbiorów: do truskawki, do wiśni, do czereśni. Taka np. czereśnia. Zwykle trudno było kupić jej na pokrycie bieżącego zapotrzebowania: w tym roku planowali 6,5 tys. ton, a musieli przyjąć 16 tys. ton! — martwi się naczelnik Adaszewski. Albo śliwka wczesna — w ubiegłym roku o tej porze kupili 20 (słownie dwadzieścia ton) a teraz (początki sierpnia) mają już 2 tys. ton.

Wdzięcznym tematem w tym kontekście jest wiśnia. Ilustruje ona doskonale dramat bezsilności już nie tylko skupu i przetwórstwa. Gwałtowny wzrost nasadzeń w makroregionie lubelskim obserwowany od 5—6 lat, sprawia, że wiśni mamy coraz więcej. Skup płaci po 90 zł za kontraktowaną i po 80 zł za niekontraktowaną. Po przetworzeniu na kompot czy dżem wiśnia wędruje do handlu w cenach po 130 zł za słoik. Powstaje w ten sposób błędne koło: taniej od producenta się nie kupi, bo na wolnym rynku wiśnia kosztuje 120 zł w rejonie upraw, a w województwach zachodnich po 150 zł. Koszt przerobu, słoja

i zakrętki (robionej z blachy importowanej) jest tak wysoki, że po dodaniu minimalnego zysku przetwórci oraz marż handlowych słoje kompotu lub dżemu wiśniowego lądują na półkach sklepowych w cenie, która zmusza każdą gospodynię do głębokiego przemyślenia zakupu. W rezultacie półki uginają się od ubiegłorocznych przetworów, zresztą nie tylko wiśniowych, a nowy sezon przetwórczy już trwa! Postawiono więc przecenie o 20 proc. stare przetwory, co, po pierwsze, jest zwykłym oszustwem wobec klienta, gdyż przecena przeterminowanego przetworu, zdaniem fachowców, powinna sięgać połowy wartości. Po drugie, znikoma przecena sprawia, że stare przetwory jak stały, tak stoją. Co z nimi? Oczywiście jest stary sposób: zbiorowe żywienie, przedszkola, domy starców. Jeszcze jesienią będą tam pić stare kompoty, ponieważ nowe muszą się zestarzeć, ulec nikłej przecenie, aby za rok... itd.

Piekło nadurodzaju ma zatem rozległe społeczno-gospodarcze implikacje. Podwyżki cen, nieadekwatne w stosunku do podwyżek płac, osłabiły siłę nabywczą społeczeństwa. Słabości tej nie widać przy towarach deficytowych, natomiast ujawnia się ona w całej pełni przy towarach występujących w nadmiarze. Racjonalowanie cukru ogranicza zdolności przetwórcze każdej gospodyni, co powoduje rzekomą nadprodukcję wiśni, śliwek, truskawek i porzeczek. Z kolei wysokie ceny przetworów gotowych odstręcają od zakupów w sklepach. Krąg się zamyka.

Czy są jakieś wyjścia z tej wirówki nonsensu? Owszem, wyjścia są, ale większość trzeba zaliczyć do pomysłów utopijnych. Przede wszystkim gilotyna górnego dochodu przedsiębiorstwa, ów wszechwładny od niedawna fiskus, działa jak pistolet przy skroni przedsiębiorczości, elastyczności ludzi i decyzji; broni ścisłego rachunku ekonomicznego w rzekomej trosce o konsumenta, a jest ślepy na względy społeczno-ekonomiczne.

Monstrualnie rozbudowany, wielostopniowy, dyrektywny, choć nie panujący nad poszczególnymi ogniwami i agendami aparat skupu, przetwórstwa, dystrybucji i handlu — żywi się kosztem konsumenta, kosztem końcowej ceny owocu lub jego przetworu. Dużą część jego energii idzie na hamowanie, opóźnianie, utrudnianie wolnego przepływu owoców z pola do stoiska sklepowego. Sadownik, który jedzie ze swoim owocem na północ czy zachód kraju, żeby go sprzedać hurtem czy w detalu, jest po drodze trzy razy legitymowany przez patrol MO żądające uprawnień. Na targowisku pracownicy wydziału handlu żądają... uprawnień. Otrzymują je, ale na wszelki wypadek ślą pisma do macierzystych wydziałów handlu delikwentów. Jeśli już nie ma się do czego przyczepić, to przynajmniej trzeba wlepić mandat za przeterminowane odważniki lub nie atestowaną wagę — których absolutnie brak w handlu.

Nie w lepszej sytuacji są spółdzielnie ogrodnicze działające na terenach sadowniczych. Nie mogą np. wystąpić na sprzedaż kupionych owoców na teren innej spółdzielni. Ograniczenie jest tak dotkliwe w latach urodzaju, że wreszcie CSOIP zdobyła się na wysłanie pisma w tej sprawie do wicepremiera R. Malinowskiego. Tabor i transport spółdzielczości znajduje się w opłakanym stanie z braku ogumienia, akumulatorów i innych części. To razem ze wspomnianymi ograniczeniami sprawia, że np. różnica cen owoców pomiędzy rynkiem np. lubelskim a gdańskim czy wrocławskim sięga 20, a wiosną nawet 30 zł.

Dojrzał chyba czas do zmian strukturalnych w samej spółdzielczości, w systemie skupu, w podziale zadań i terenów wpływów między spółdzielczością, a znajdującymi się w tym samym rezerwie, ale samodzielnie działającymi przedsiębiorstwami przetwórstwa i skupu, a także spółdzielczością spożywczą w miastach.

Co jeszcze? Oczywiście ceny skupu — tu najłatwiej sięgnąć po rezerwy, bo producent nie ma szans protestu. Nie protestuje np., gdy płaci mu się 15 zł za jabłka, za które już trzy lata temu płacono mu... 12 zł! Oznacza to, biorąc pod uwagę regres w sile nabywczej złotówki, że obecnie, w przeliczeniu na „stare” pieniądze, otrzymuje zaledwie 5 zł! Z tych 5 zł musi opłacić: potrójne ceny preparatów, narzędzi i maszyn; podwojony podatek gruntowy; trykrotność podatku z tytułu tzw. upraw dochodowych; jeden procent od kwoty obrotu na składkę plantatorską (za co?); składkę na fundusz emerytalny; opłatę na fundusz inwestycyjny; składkę na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. Niech płaci, bo to milioner!

Henryk Pająk



# Kajet literacki

## Fascynacje typowe?

**Z**ACZNIJMY rzecz całą od sportu, który też jest rodzajem sztuki. Wyniki na boisku możemy mierzyć w sekundach, metrach czy równie umownych bramkach. To jest bardzo wygodne. Czasami także i miłośników literatury ogarnia nastrój właściwy raczej bibliocom sportowemu. Kto jest najlepszym pisarzem? Kto najwspanialszym poetą? Historię literatury chętnie wypełnilibyśmy rzędami tabel z rekordami. Niektórzy filolodzy zresztą już to robią.

Największe przeżycia czytelnicze związane są z okresem dzieciństwa. Gdy trochę podrosłem, gdzieś tak w piątej klasie, zacząłem dobrać się do książek matki, a ponieważ ona uwielbiała Kraszewskiego, więc i ja stałem się jego wielbicielem. Z góry zapowiadałem rodzicom, że na imieniny czy pod choinkę chcę otrzymać kolejny tom Kraszewskiego. Gdy w siódmej klasie sięgnąłem po Trylogię, uznałem, że Mistrz Henryk jest uczniem Arcymistrza Józefa Ignacego. W ogóle uczniami Kraszewskiego byli wszyscy bez wyjątku pozytywści. No i proszę, mamy pierwszą tabelę naszych rekordów.

W klasie maturalnej łapczywie, wręcz zachłannie polykaliśmy Amerykanów, których wtedy aku-

rat zaczęto wydawać. Utwory Hemingway'a, Faulknera, Steinbecka dobrze do dziś zapamiętałem, choć dziś nie jestem już takim ich entuzjastą. Proza amerykańska przypomina mi tak zwanych „Małych Holendrów” w plastyce. Podobnie „Mali Amerykanie” są mistrzami uroczych scenek rodzajowych.

Gdy byłem przez parę lat wiejskim i miasteczkowym nauczycielem na zastępstwa, nie miałem dostępu do wielkich bibliotek i z konieczności czytałem rewelacje wydawnicze „minionego okresu”. Przeczytałem wtedy całego Gorkiego, Leonowa, poznałem różnych innych niemodnych pisarzy i zrozumiałem, ile Amerykanie zawdzięczają prozie rosyjskiej. Przy okazji pamiętajmy z kolei, ile literatura staroruska zawdzięcza staropolszczyźnie, bowiem wtedy naszych pisarzy chętnie tłumaczono i naśladowano.

Różne też przeżywałem fascynacje poetyckie. Gdy byłem подростkiem, wydawało mi się, że nie ma lepszego poety od Tuwima. Nie ma i nie może być. Minęło parę lat i zacząłem zachwycać się Gałczyńskim, Leśmianem — wtedy wszyscy się nimi zachwycałi. Potem, zgodnie zresztą z duchem epoki, zwróciłem uwagę na Przybosa. W jego wierszach było coś jednak jakby nie do-

kończonego, nie spełnionego. Spełnienie to dokonywało się na moich oczach w kolejnych tomkach Mirona Białoszewskiego. Potem sam zacząłem pisać wiersze i to strasznie zmanierowało we mnie czytelnika. Dziś uważam, że najwspanialszym poetą naszego wieku był Lechoń, ale nie gwarantuję, że jest to pogląd ostateczny i bezdyskusyjny.

Podobnie z klasyką. Jako czytelnik miałem okresy natchnionej lektury utworów Reja, Kochanowskiego, romantyków. Dziś przemawia do mnie dalej pełnym i mocnym głosem staropolszczyzna, cały Mickiewicz, mistyczny Słowacki, wyjątki z Norwida i różne pojedyncze utwory innych poetów. Nie znaczy to wcale, że nagle nie odkryję poezji — powiedzmy — Asnyka czy Kasprzowicza.

Homera, Szekspira czy Dantego wciąż czytam na nowo z wypiekami na twarzy. Więcej strach doprawdy o nich pisać, żeby nie zgrzeszyć.

Na koniec pointa dość żalozna. A może wcale nie żalozna. W dzieciństwie sięgnąłem do klasyków, w młodości lekturę klasyków łączyłem z „zaliczaniem” modnych nowości (na przykład Mann, Canetti, Witkacy itd.). W każdym razie nie czytałem wtedy kryminałów. Powieści sensacyjne wydawały mi się jałowe, beznadziejnie jałowe. Gdzieś tak koło trzydziestki spędzałem wakacje w pewnym domu, gdzie były same kryminały. Od tego czasu czytam kryminały. Czy jest to więc moja czytelnicza klęska? Czyżby młodość była najbujniejszym okresem także z tego punktu widzenia? Różne mogą być odpowiedzi na te pytania.

Janusz Olezak

## Wały bawia i śmieszą

Istvan Grabowski

**R**UDOLF Schuberth jest dla mnie ideałem estradowca, rzutkiego człowieka z wyobraźnią. I wcale nie dlatego, że spędził sporo czasu w najlepszym polskim kabarecie „TEY”. Rudi znakomicie, wręcz instynktownie wyczuwa atmosferę sali i w zależności od niej ustala taktikę gry. Zresztą pokażcie mi drugiego piosenkarza, który byłby równie sprawnym konferansjerem, rozśmieszającym, ale bez opowiadania płaskich dowcipów, szalenie elokwentnym, gotowym z odpowiedzią na każde pytanie i co ważne — przekonującym. Zartobliwa rozmówka z Krystyną Sienkiewicz, jaką mieliśmy okazję podziwiać na ekranach telewizorów podczas retransmisji festiwalowego koncertu „20 lat minęło”, była tylko małą próbą jego możliwości.

Ale Schuberth to nie tylko utalentowany kabareciarz. Doskonale spisuje się w roli kompozytora, autora tekstów i śpiewającego gitarzysty. Pamiętam, po raz pierwszy spotkałem go jesienią 1978 roku w garderobie krakowskiej hali „Wisły” na moment przed ogłoszeniem werdyktu jury Festiwalu Piosenki Studenckiej. Jego więzienna samba „I tylko mi ciebie brak” urzekła jurorów i kilkutyśiętną widownię „Wisły”. Dość powiedzieć, że Rudi musiał bisować bodajże sześć razy, a wiwatów nie było końca. Niedługo potem zrobił furorę w Opolu również dowcipną piosenką „Wars wita was”. Dobrze, że nie występował wcześniej przed kamerami telewizyjnymi, bo rozsierdzeni kolejarze, znający dobrze jego oblicze, odmówiliby mu pewnie wstępu do pociągu.

Na obu festiwalach nie działał sam. Wspomagała go, ku uciechu rozbawionej publiczności, spora grupa przyjaciół, oryginalnie nazwana — Wały Jagiellońskie. Jak na muzykujących studentów przystało, Wały robiły na scenie różne szalone psikusy, a krytycy głowili się nad kwalifikacją stylistyczną ich programu. Ni to zespół muzyczny, ni kabaret. Jedynym sensownym wytłumaczeniem była długa nazwa Okolicznościowo-Rozrywkowy Syndykat „Wały Jagiellońskie”. Dwunastu, w większości śpiewających, muzyków skrzyknęło się dużo wcześniej przed festiwalu piosenki studenckiej. Grze-

gorza Bukalę i kilku jego kolegów pociągała najpierw modna w środowisku akademickim piosenka turystyczna. Często brali więc udział w studenckich przeglądach: Yapa, Bazuna i Gielda Piosenki Turystycznej. Od tego niezobowiązującego muzykowania zaczęła się ich „kariera”. Potem było spotkanie z „Grubym”, czyli Schuberthem, pierwsze próby w gdańskich klubach studenckich, triumf w Krakowie i luźny kontakt z Bałtycką Agencją Artystyczną. Po Opolu '79 byli już zawodowcami z weryfikacją ministerialną, choć bronili się od zakusów przeistoczenia zespołu w trupę objazdowych wesoloków.

Wały Jagiellońskie, od kiedy ich pamiętam, zawsze były formacją perfekcyjną. Zarówno pod względem wykonawczym, jak i repertuarowym. Ich bogaty program obejmował kłujące piosenki satyryczne, liryczne ballady folk, kabaretowe „dialogi na cztery nogi” i zupełnie przyzwoite kawałki instrumentalne. Nie rezygnując z humoru, potrafili być szalenie poważni, chwila mi targający sumieniami. Jak łatwo się domyślić, żaden festiwal czy program telewizyjny nie był w stanie oddać niepowtarzalnej atmosfery koncertu Wałów; koncertu uważanego w gronie studenckiej braci za 90-minutowy show pod każdym względem.

Sukcesy osiągnięte w błyskawicznym tempie i rosnąca z dnia na dzień renoma nie były jednak dostatecznym argumentem dla związania wszystkich muzyków na stałe. Po stosunkowo krótkim okresie występów, „mózg” grupy, Rudolf Schuberth opuścił przyjaciół, zmieniając barwy na kabaret „TEY”. Zdawało się, że z jego odejściem nastąpi całkowita degrengolada i Wały przestaną istnieć. Ale mimo niezbyt optymistycznych prognoz udało im się przetrwać zły czas. Tym razem pod wodzą Grzegorza Bukalę — gitarzysty, wokalisty i kompozytora. Bukala przejął na siebie obowiązki lidera Wałów i napisał sporo ciekawych piosenek. Schuberthowi wiodło się w Poznaniu zupełnie dobrze. „TEY” miał komplety nie tylko na premierach, ale i dosyć często zjawiał się na szklanym ekranie. Uczucie rozłąki z dawnymi kolegami było jednak na tyle silne, że Rudi nęczył „syn marnotrawny” zdecydował się na powrót do Wałów, dla których pisał wciąż nowe utwory (choćby znakomity „Elementarz” — złośliwa krytyka propagandy sukcesu). Wydarzenie to uczczono rejestracją płyty dla Polskich Nagrań („Etykieta za-



Rudolf Schuberth

Fot: K. M. Adamus

stępcza”) z dotychczasowymi szlagierami.

Zupełnie nowy repertuar utrwaliłi muzycy na taśmie już po znaczącym „przombielowaniu artystycznym”. Z różnych powodów (przeważnie osobistych) część dawnego składu wykruszyła się i chcąc działać operatywnie, należało uzupełnić skład muzyków. Wymyślono więc przymierze, czyli połączenie się z trzonem upadającej Wolnej Grupy Bukowina i resztkami Dżambili. Powstała supergrupa mogła przystąpić do odbudowywania dawnej sławy. Przyszło jej to całkiem łatwo. Wzmocnione siły Wałów nagrały kasety „Kukuła disco” serwując słuchaczom porcję znakomitej rozrywki.

Trudno o jednoznaczny etykiety aktualnej działalności krakowsko-gdańskiej formacji. Mimo elektrycznego instrumentarium i obecności sprawnych technicznie „wymiataczy”, nie

mnieci się ona w formule zespołu folk-popowego. Kabaretowe ciągoty Schubertha i Bukalę wciąż znajdują odbicie w programie Wałów Jagiellońskich. I nie ma chyba przesady w twierdzeniu, że ich show jest piorunującą mieszanką muzyczną. Ballady folk obcuje z heavy rockiem, a nastrojowo lirycznie zjadliwą satyrą. A jednak eklektyzm gatunków i stylów nie drażni. Słuchacze bawia się wyśmienicie, ceniąc estradowy szarm, humor, rytmikę i ruch sceniczny. Naprawdę jest na co popatrzeć i czego posłuchać. Rudi w roli dyskotekowego idola często improwizuje, ale jak dotąd nie zawiódł go dowcip. Wielka szkoda, że lipcowe występy Wałów Jagiellońskich w Lublinie miały tak skromną frekwencję. Nie wiadomo, kiedy nadarzy nam się następna gratka oglądania ich na scenie. Niejako w zastępstwie proponuję posłuchać płyt i kaset. Obie godne są uwagi wymagającego odbiorcy.



## ODEJŚCIE BUÑUELA

**Z**MARL Luis Buñuel. Miał osiemdziesiąt trzy lata, nakręcił ponad trzydzieści filmów; przynajmniej dziesięć spośród nich to arcydzieła, które wpłynęły w zdecydowany sposób na rozwój sztuki filmowej. Postępująca w ostatnich latach głuchota ograniczała jego kontakt z światem, ale nie potrafiła przeszkodzić w tworzeniu kolejnych filmów, które zachwycały głębią obserwacji ludzkiej natury, przenikliwością spojrzenia na „mroczne” strony duszy człowieka i siłą artystycznego wyrazu. „Obsesja Buñuela to Bóg i że nie ma Boga, Kościół, walka z Kościołem, górne człowieczeństwo i to, że człowiek od początku jest skazany” — pisał prof. Aleksander Jackiewicz w jednym ze swych szkiców o Buñuelu. Obsesje Buñuela to także — świętość i brak świętości w człowieku. I przewijający się w jego wszystkich prawie filmach problem śmierci. Filmy Buñuela były okrutne — bo życie i śmierć niosą ze sobą pierwiastki okrucieństwa. Były drapieżne — bo otaczający nas świat jest drapieżny. Były wstrząsające i oskarżycielskie — bo Buñuel był wielkim moralistą; ich poetka przebiegała na pograniczu snu i jawy — bo twórca „Psa andaluzyjskiego”, „Viridiany”, „Piękności dnia” i „Mrocznego przedmiotu pożądanego” był surrealistą, choć od czasów młodości jego poglądy na sztukę przeszły wyraźną ewolucję.

Problem śmierci... Kończąc tom wspomnień „Moje ostatnie westchnienie”, wydany w Paryżu w 1982 r., ponad osiemdziesięcioletni twórca pisał m.in.:

„Od pewnego czasu oswoilem się z myślą o śmierci. Od czasu szkielecików oprowadzanych po ulicach Calandy w procesjach Wielkiego Tygodnia, śmierć jest częścią mego życia. Nigdy nie chciałem jej ignorować, nie chciałem jej zaprzeczać. Ale nie ma się wiele do powiedzenia o śmierci, gdy jest się — jak ja — ateistą. Trzeba umrzeć ze świadomością tajemnicy. [...] Nie żywie na temat śmierci żadnych iluzji, zdarza mi się jednak zapytać o formy, jakie może przybrać. Czasem mówię sobie, że wspaniała jest śmierć nagła, taka jak śmierć mego przyjaciela Maxa Auba, który umarł podczas gry w karty. Ale przeważnie opowiadam się za śmiercią powolniejszą, bardziej oczekiwaną, pozwalającą po raz ostatni pozdrowić całe życie, które poznałem. Od wielu lat, opuszczając miejsca, które dobrze znam, w których żyłem i pracowałem, które były częścią mnie samego — Paryż, Madryt, Toledo, El Paular, San José Purua — zatrzymuję się na chwilę, by je pożegnać. [...] Zegniam się ze wszystkim z górami, źródłami, z drzewami i żabami. [...] Kiedy od pewnego czasu pytała mnie, dlaczego coraz mniej podróżuję, dlaczego tak rzadko wyjeżdżam do Europy, odpowiadałam: „Ze strachu przed śmiercią”. Odpowiadają mi, że mam taką samą szansę umrzeć tam, co tutaj, a ja na to: „To nie jest strach przed śmiercią w ogóle. Nie rozumiem. W rzeczywistości śmierć jest mi obojętna. Ale nigdy w trakcie przeprowadzki”. Śmierć okrutna to dla mnie ta, która przychodzi w hotelowym pokoju, pośród otwartych waliz i porzucanych papierów”.

Urodził się Luis Buñuel w roku 1900 w Hiszpanii jako syn majątnych właścicieli ziemskich, uczył się w kolegium jezuickim w Saragossie, studiował — w Madrycie. Chciał najpierw studiować agronomię, potem — inżynierię, wreszcie — zdecydował się na studia z zakresu filozofii i literatury. Podczas pobytu na uniwersytecie zainteresował się teatrem i kinem, ale równie mocno pociągała go entomologia, nauka o owadach, i to ostatnie zainteresowanie miało następnie — jak twierdzą niektórzy krytycy — znaleźć odbicie w jego filmach, w bardzo specyficznym

podejściu do tematu, jakim zawsze w twórczości Buñuela jest ludzka natura.

Niewątpliwym wpływem na artystyczną drogę młodego Hiszpana miała znajomość z Salvadorem Dalí i całą grupą surrealistów, z którą nawiązał ścisłe stosunki po przybyciu do Paryża w 1925 r. A także fakt wstąpienia na Akademię Filmową, prowadzoną przez wybitnego filmowca francuskiego, Jeana Epsteina.

W 1928 r. powstał — we współpracy z Salvadorem Dalí — pierwszy film Luisa Buñuela, „Pies andaluzyjski”, będący ekranowym manifestem surrealizmu. Ale prawdziwy skandal przyniósł nakręcony dwa lata później „Złoty wiek”, piętnujący bezlitośnie istniejące stosunki społeczne i mieszczańską moralność. Uznano Buñuela za artystycznego awanturnika, obrazoburcę i wręcz bluźniercę — który to epitet szczególnie często stosowano wobec niego po powstaniu w 1961 r. „Viridiany”.

Po nakręceniu w 1932 r. „Ziemni bez chleba” — przejmującej opowieści o żyjących w niezwykłej skrajności i ludzkim upodleniu Hurdach, mieszkających zagubionych w górach wiosiek — Buñuel zamieszkił jako twórca na długie lata. W okresie wojny domowej w Hiszpanii wyjechał do Stanów Zjednoczonych, w 1947 r. musiał przenieść się do Meksyku. Od 1947 r. kręcił tam filmy, w przeważającej mierze obrazy komercyjne, pozwalające mu przeżyć. Pierwszym znaczącym dziełem reżysera w tym okresie był powstały w 1950 r. „Los olvidados”. Film o bezdomnych chłopcach z państwowego zakładu wychowawczego. Lecz właściwie dopiero nakręcony w osiem lat później „Nazarein” — opowieść o młodym księdzu katolickim — z szczególnie — nakręcona w 1951 r., i pokazana na festiwalu w Cannes — „Viridiany” przyniosły Luisowi Buñuelowi — po raz drugi od lat dwudziestych — rozgłos i ugruntowały jego pozycję w świecie kina. Potem prawie każda kolejna realizacja: „Anioł zagłady”, „Dziennik panny służącej”, „Symon i pustyni”, „Piękność dnia” (z znakomitą kreacją Catherine Deneuve, która na pewien czas stała się „buñuelowską” aktorką), „Mleczna droga”, „Tristana”, a wreszcie — „Dyskretny urok burżuazji”, „Widmo wolności” i „Mroczny przedmiot pożądanego” — to były światowe sukcesy.

Już dwadzieścia lat temu, kiedy nie było jeszcze „Piękności dnia”, ani, tym bardziej, następnych filmów Buñuela, polski krytyk filmowy Konrad Eberhardt, pisał w swej książce „Podróż do granic filmu”:

„Jeśli szukać w filmowej sztuce współczesnej dwóch zjawisk najbardziej od siebie odległych, zaprzeczających sobie — należałoby zestawzić „Anioła zagłady” z „Osielem i pół” Federico Felliniego. Oto pierwszy film, z którego emanuje niezłomne przekonanie o potęgę sztuki, o siłę artysty, mającego do dyspozycji kamerę, niczym karzący miecz biblijnego anioła. Oto drugi film, będący wyrazem niewiary w sens tworzenia; jego tematem jest podróż w kierunku odwrotnym: nie ku wartościom, które powstają, ale tym, które giną; nie w stronę harmonii — lecz chaosu, rezygnacji i zwątpienia w sens aktu twórczego. Buñuel wytacza proces przeciw niesprawiedliwemu światu, ponieważ jest przekonany, że jako artysta ma do tego prawa. Wierzy w postannictwo artysty. I ta wiara właśnie sprawia, że jego twórczość niezwykła i gwałtowna jest źródłem pokrzepiającej siły”.

Po dwudziestu latach i po kolejnych filmach obydwu twórców, te słowa nie straciły na aktualności.

M. D.

## Krzyżówka Nr 22 Szyfrogram literacki

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13		
14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	
	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	
41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	
55	56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66			
67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77	78	79	80	81
82	83	84	85	86	87	88	89	90	91	92	93	94		
95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	105	106	107		
108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118	119	120	121	122
123	124	125	126	127	128	129	130	131	132	133	134			
135	136	137	138	139	140	141	142	143	144	145	146	147	148	149
150	151	152	153	154	155	156	157	158	159	160	161	162		

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści pisarza, którego pierwszą literę imienia i nazwisko utworzą litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne pojedyncze kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

Wyrazy pomocnicze:

1. rzymski ojciec bogów — 66, 112, 145, 85, 117, 28
2. żniwa rybaków stawowych — 103, 74, 36, 1, 43, 12
3. szlachetny metal — 114, 33, 33, 41, 6
4. zbiorowisko gapiów — 104, 141, 153, 84, 132, 111, 144
5. przednia strona medalu — 162, 58, 119, 137, 48
6. bojowość, odwaga — 86, 24, 32, 68, 29, 160
7. pomysłowość — 122, 148, 109, 155, 161, 90, 20, 38
8. opłata za wyższe studia — 63, 121, 73, 67, 180, 40
9. piękny kwiat, u nas doniczkowy — 91, 107, 93, 26, 47, 17, 23
10. góry w Ameryce — 79, 2, 97, 97
11. niechęć do pracy — 32, 63, 83, 101, 159, 11, 34, 14
12. białostockie ciasto — 128, 18, 96, 21, 37, 140
13. pęk lnu do przedzenia — 22, 27, 127, 75, 9, 108, 93
14. reguła moralna — 134, 13, 70, 18, 71, 123, 3, 61, 50
15. centrala telefoniczna — 42, 156, 25, 46,

- 106, 118, 113, 33
16. jezioro Wopieła — 15, 103, 123, 53, 91
17. przydomowa uprawa warzyw — 16, 154, 43, 34, 129
18. pod nogami — 151, 136, 143, 131, 124, 147, 29
19. sklep dla kupca — 31, 69, 5, 129, 4, 99, 115, 149, 87
20. do wymiatania węgla z pieca — 8, 154, 133, 116, 197, 68, 143, 82
21. narkotyk — 42, 94, 146, 77, 19
22. ziemia z wodą — 56, 83, 93, 53, 138
23. pora roku — 7, 154, 62, 44
24. dziury w stole bilardowym — 92, 138, 73, 116
25. narzędzie krawca — 76, 159, 124, 152
26. poznańskie ziemniaki — 135, 89, 78, 84
27. lyseczyk — 63, 81, 102, 99

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 16 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-050 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki-szyfrogramu literackiego nr 20

Widziałem kobiety, stworzenia najbardziej uciemiężone na Podhalu, obrabiające kawałek ziemi ręcznie — za pomocą rydla, motyki i grabli. Niczym konie, ciągnęły drewniane brony.

Władysław Machefek  
„Rano przeszedł huragan”

Nagrode wylosował Jerzy Sakowicz, ul. J. Sawickiej 46, 22-400 Zamość.

## ARCHIWUM MISTRZÓW ANEKDOTY

Balzac zawsze starał się, aby premiery jego sztuk wypadły okazale. Dbał o publiczność, o udział pięknych kobiet, o świetne stroje. Kosztowało go to zawsze wiele zachodu i energii. Po jednej z premier do pustej już sali wszedł woźny, czyniąc codzienny przegląd, tu podnosząc zgubioną rękawiczkę, tam doprowadzając do porządku portierę. W jednej z łóż znalazł śpiącego jegomościa. Spał on tak twardo, że woźnemu z trudnością udało się go obudzić. Był to sam Balzac... śmiertelnie zmęczony przedpremierowymi kłopotami.

— Czym pan jest w tej chwili zajęty? — zapytał ktoś Dumasa po raz dwudziesty piąty jednego dnia

— W tej chwili? — zabrzmiała odpowiedź. — Widzi pan przecież, że w tej chwili rośnie mi broda.

Rivarola spytano o jego pogląd na książkę pani de Staël o namiętnościach. Rivarol odpowiedział:

— Dlaczego pytają mnie, co myślę o książce, której nie jestem w stanie przeczytać? Przypominam sobie, co odrzekła pewna pani autorowi, który spytał: „Co myśli pani o mojej książce?” — „Robię to, co pan: nic nie myślę”. Podobnie należałoby odpowiedzieć autorce książki o namiętnościach: „Robię to, co pani: nie nie odczuwam”.

Wiktor Hugo jechał swego czasu kołając nad brzegiem jeziora w Enghien z panią Julią Drouet. W swojej serwetce znalazł potem następującą karteczkę: „Zaświadczam niniejszym, że otrzymałam od p. Wiktora Hugo wiele miłości, przyjaźni i zobowiązuję się wypłacić mu je natychmiast. Julia Drouet”.

Dokument ten znalazł się w papierach pośmiertnych pisarza.

Wyszperali:  
Ryszard Dunin

## Nowości Wydawnictwa „Pojezierze”

- Sławomir Fafiński: Aby zrozumieć małomównych. Poezje. 1983. Str. 62, cena — 50 zł.  
Przemysław Byrski: Kamienne lwy. 1983. Powieść. Str. 206, cena — 90 zł.  
Władysław Katarzyński: Ciszy nie będzie. Poezje. 1983. Str. 78, cena — 50 zł.  
Wiesław Niesobecki: Legendarium. 1983. Poezje. Str. 58, cena — 50 zł.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Szepliński (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek Korektor — Barbara Caban.  
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przybija interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-16.  
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 153-30.  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEWN w Lublinie, ul. Unicka 4.  
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/1.  
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 233-93, sekretarz redakcji 215-93, dział publicystyki i literacki 273-25.  
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-050 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.



# CO JEST W TEJ PIŁCE?



## Wielki powrót Grzesia Łaty

**K**OLEJNY odcinek swoich wspomnień chcę poświęcić meczowi Bulgaria — Polska, rozegranemu w Warnie 19 sierpnia 1973 roku; bezpośrednio po amerykańskim „tournee bankietowym”. Spotkanie to było jednocześnie wielkim powrotem w szeregi kadry Grzegorza Łaty. Na mój gust powrotem spóźnionym, ale jakże udanym...

Było tak. Z USA wylecieliśmy 17 sierpnia i po dwudziestu czterech godzinach podróży, przez Londyn i Sofię, dotarliśmy w końcu do Warny. Byliśmy oczywiście wykończeni, zmęczeni i myśl o grze była ostatnią, na jaką mogliśmy się zdobyć. Gospodarze odebrali nas z lotniska, wsadzili do autokaru i zawieźli do hotelu w Złoty Piaskach. Hotel nosił nazwę „Pliska”, co wielu chłopakom nasuwało tzw. określone skojarzenia... Zjedliśmy późny obiad i poszli spać.

Trener Górski i działacze PZPN (Gmocha nie było, bo, spodziewając się krewy, udał się do Paryża w „bardzo ważnych sprawach rodzinnych”) stanęli przed poważnym problemem: jak wykorzystać pozostający do prestiżowego spotkania dzień. Dlaczego był to występ prestiżowy? Po pierwsze, dlatego, że wszystkie pojedynki z Bułgarami toczone były z wielkim zaangażowaniem sił i emocji po obu stronach. Po drugie, los stykał nas w różnych edycjach eliminacyjnych (mistrzostw świata, olimpijskich) dość często. Po trzecie, Bułgarzy mieli w pamięci, że to Polacy wybili im z głowy Olimpiadę w Monachium, pokonując ich w Warszawie 3:0 (bramki: dwie Banasia i jedna Marksa). Wcześniej było 1:3 w Starej Zagorze, gdzie dzielnie „pomagał” Bułgarom rumuński sędzia Paduraru (wyrzucił m.in. z boiska Włodka Lubańskiego). Notabene po tym meczu przyjęło się u kibiców określenie: „Sędzia Rumun”, na podkreślenie tendencyjnego „gwizdania” meczów. Po czwarte, nowym trenerem reprezentacji naszych bałkańskich przyjaciół został Christo Mladenow, pod którego kierownictwem Bułgaria nie doznała dotąd porażki (do 19 sierpnia). Mladenow wcale nie krył, że mecz w Warnie traktuje jako rewanż za wyeliminowanie z rozgrywek olimpijskich. Mówił do trenera Górskiego: Wprawdzie na pociechę pozostaje zdobycie przez was złotego medalu, ale tym większa będzie dla nas satysfakcja, jeśli potrafimy z wami wygrać.

Tak więc sprawa miała się bardzo poważnie. „Kazio” Górski radził się działaczy, lekarza, masażysty, ale wiedział, że decyzji nikt za niego nie podejmie i to jego będzie się rozliczać za wynik. Nie zapominajmy, że mecz w Warnie opinia sportowa kraju traktowała jako ostatni poważny sprawdzian przed rewanżem z Walią oraz i tego, że wiele głosów sprzeciwu wywoływał nasz wyjazd do Ameryki. Nie chciałbym być wtedy w skórze trenera Górskiego...

Niemal równocześnie z nami zjawili się w Warnie Grzesio Łato, który nie wiozował i nie bankietował w USA. Pozostał w kraju, mimo że był w dobrej formie. Nie wiem, z czego to wynikało, ale Kazimierz Górski — takie odnosiłem wrażenie — nie miał przekonania do mieleckiego napastnika. Grzesiek zadebiutował w reprezentacji w miesiąc po moim fatalnym występie przeciwko RFN na Stadionie X-lecia, grając przeciwko Hiszpanii w Gijon. Zmienił wówczas Jana Banasia i rozegrał niezłą partię, przyczyniając się do wygranej 2:0 (bramki: Marks i Lubański). Ustawiony został na lewym skrzydle i chyba jednak nie czuł się na nim zbyt dobrze. Prawe było jeszcze wtedy silne; grywał na nim Banas lub Marks. O ile pamiętam, eta-

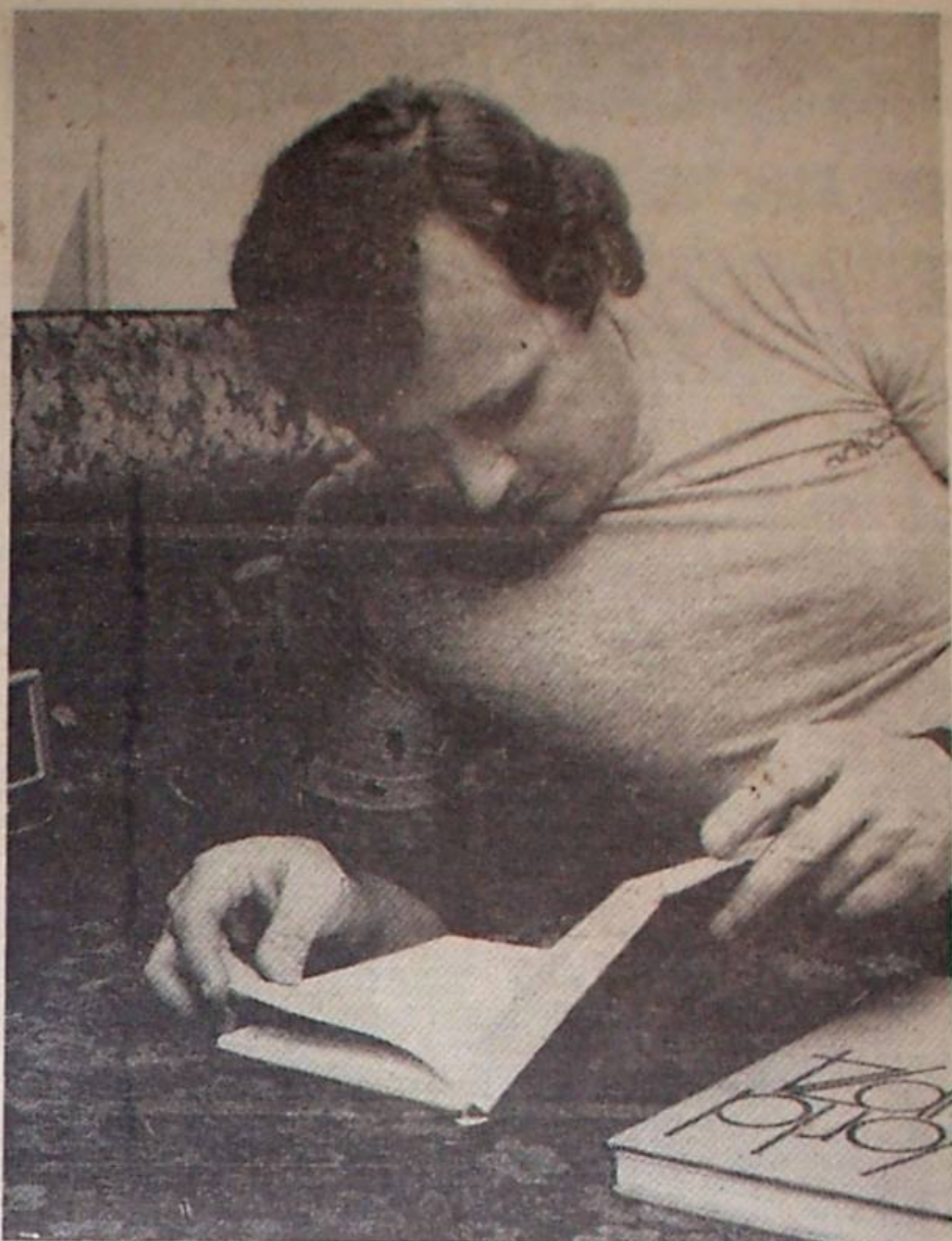
towy lewoskrzydłowiec Gadocha był wtedy kontuzjowany. W rewanżowym meczu z RFN w Hamburgu (17 listopada 1971 r.) Grzesiek wyszedł już do gry od początku, ale znów na lewej flance. Nie szło mu nadzwyczajnie i trener wymienił go na Bułę. W kolejnym spotkaniu reprezentacji, z Turcją w Izmirze (5 grudnia 1971 r.), Łato zagrał już na swojej pozycji, ale z kolei był to fatalny dzień drużyny i Turcy pokonali nas 1:0. Wydało się, że po tym meczu Kazimierz Górski postanowił „odstawić” Grzesia na bocznicę. Na Olimpiadę Łato pojechał, ale przeszedł ją na ławie, wychodząc na boisko tylko raz i to na zmianę za Marksa (z Danią; wynik 1:1). Potem zagrał jeszcze tylko półówkę meczu z nowojorskimi „kelnerami”, czyli z USA (4:0). Tu i ówdzie mówiono, że Grzesiek, znakomicie grający w lidze i młodzieżówce, nie pasuje do pierwszej reprezentacji. Czy trener Górski w to wierzył? Nie wiem. Faktem jest, że próbował na prawym skrzydle wielu ludzi (m.in. Banasia, Kmiecika, Maształera), zapominając jakby o mieleczaninie.

Tuż przed wylotem z Nowego Jorku do Europy „Kazio” Górski, w rozmowie telefonicznej z PZPN-em, powołał Grzegorza na mecz z Bułgarią. Wiadomo było, że zawodnik Stali będzie „grył trawę”, żeby udowodnić swoją przydatność. Ściągnięcie Łaty było pierwszym pokerowym zagranieciem Górskiego.

Były następne. Dzień przed meczem trener nie zaaplikował nam treningu, a jedynie krótka zabawa z piłkami. Do obiadu „Kazio” pozwolił podać... piwo. Potem zaś zarządził kąpiel w morzu. Towarzyszący nam działacze bułgarscy zupełnie nie wiedzieli, co jest właściwie grane. Być może sądzili nawet, że mecz postanowiliśmy odpuścić. My tymczasem szaleliśmy w wodzie wraz z trenerem jak dzieci. Był to znakomity relaks fizyczny i psychiczny. Humory dopisywały. Zniknęło zmęczenie wojażami. Byliśmy luźni i naładowani energią, jak po przedmeczowym zgrupowaniu. Czekaliśmy na mecz ze spokojem. Trener Górski, przyjmując taką koncepcję przygotowania, wykazał się wielkim doświadczeniem i mądrością życiową. Później niektórzy mówili, że miał szczęście. Nigdy nie zgadzałem się z takim gadaniem, bo wiedziałem, co za nim stoi. Zawsze, jak się mówi o „szczęściu”, to w podtekście przyłmuje się brak umiejętności („Glupi, to ma szczęście”).

Dlaczego Górskiemu Łato był potrzebny w Warnie? Uważam, że nie tylko ze względu na swoją bojowość i bramkozorność, ale i dlatego, że miał być dla Bułgarów zaskoczeniem. Trener Mladenow spodziewał się zapewne gry Banasia, którego dobrze znał i z którym radził sobie w dwóch poprzednich meczach obrońca Aladziów. Zakładał też, że gra całego zespołu zależy będzie w lwiej części od dyspozycji znanej pary pomocników Bonew — Dermendżijew. Przy czym Bonew pełnił rolę naszego „Kaki” Deyny: wykonywał stałe fragmenty gry (przede wszystkim wolne i karne) oraz kierował grą. To on w „słynnym” meczu starozagorskim strzelił nam dwa gole. To, czy Bonew sobie pogra w Warnie, miało zależeć od Leszka Cmikiewicza, który występował przeciwko Bułgarom drugi raz. Dermendżijewa miał „na głowie” Henio Kasperczak.

Trener Górski przewidywał, że Bułgarzy od początku ostro zaatakują, jak to zwykle robili, grając u siebie. Stąd można było przypuszczać, że sporo roboty będzie miała obrona. Przede wszystkim obaj stopery: Gorgon i Wieczorek. „Kazio” zwracał uwagę im zwłaszcza na młodego środkowego napastnika gospodarzy Stojanowa oraz lewoskrzydłowego Denewa (już Górskiemu znajomego).



Fot. Cezary Krupa

Sprawy, o których wyżej, „Kazio” spokojnie wyłożył nam na przedmeczowej odprawie, bez zbędnego teoretyzowania i wymądrzania (co z kolei było „silną” stroną Gmocha). Na koniec trener powiedział: *Wiecie, chłopaki, jak jest i ile od tego meczu zależy. Mamy za sobą wiele niezapomnianych wrażeń z wyjazdu za ocean, który okazał się jednak potrzebny. Nie popuszczajcie więc końcowego wrażenia, bo od tego będzie wiele zależało w przyszłości.*

— Nie ma sprawy, trenerze. Zrobi się... — zapewnił Kazik Deyna, nasz kapitan.

Wychodziliśmy na boisko rozluźnieni, przekonani, że nie powinno być źle. Chłopcy Mladenowa byli wyraźnie spięci. Pierwsze minuty meczu pokazały, że trener Górski miał rację. Bułgarzy za wszelką cenę chcieli przedostać się pod naszą bramkę, ale robili to zbyt nerwowo. Kończyło się zwykle na przedpolu „szesnastki”, po zdecydowanych interwencjach naszej obrony.

Jednocześnie okazało się, że Grzesiek Łato, znakomicie rozumiejący się z Kasperczakiem, jest trudny do upinowania przez Aladziowa. Już w 15 minucie spotkania uwolnił się spod jego opieki i był o krok od zdobycia bramki. W 30 minucie po solowym rajdzie bliski uzyskania prowadzenia był Gadocha. Ja, na dobrą sprawę, miałem w pierwszej połowie zaledwie trzy okazje do interwencji wymagających większego wysiłku. Dokładnie zneutralizowana została bułgarska druga linia. Kiedy wydawało się, że pierwsza część zakończy się bezbramkowo, Grzesio Łato po serii szybkich podań znalazł się w dogodnej sytuacji strzałowej i wykorzystał ją bezbłędnie. Prowadziliśmy 1:0.

Oczywiście przerwa minęła w dobrym nastroju. Trener przestrzegł jednak przed zbyt wczesnym optymizmem. Oznaki zmęczenia wykazywał Jurek Gorgon, bardzo dobry w amerykańskim tournee. Zapadła decyzja, iż zostanie zmieniony na Bulzackiego.

Druga połowa nie przyniosła zasadniczych zmian sytuacji. Nadal prowadziliśmy otwartą grę, starając się rozbić akcje Bułgarów w środkowej strefie boiska. Trener Mladenow postanowił dokonać zmian. Zdjął z boiska Dermendżijewa i prawego napastnika Petkova. Wprowadzając w ich miejsce Christowa i Dymitrowa. U nas utrudzonego Jurka Gorgonia zastąpił Bulzacki.

Od 60 minuty spotkania uzyskaliśmy przewagę, raz po raz przeprowadzając akcje nagradzane przez publiczność oklaskami. Kiedy w 70 minucie Łato, po wzorowej akcji całego zespołu, podwyższył na 2:0, kibice zaczęli dopingować nas, zaś swoich zawodni-

ków traktowali gwiazdami. Ostatecznie wynik nie uległ zmianie, choć mieliśmy dwie dobre okazje do strzelenia bramki. Na ostatnie dziesięć minut trener Górski wystawił w miejsce Gadochy Andrzeja Szarmacha.

Najlepszym komplementem, których zresztą nie szczędzono nam po tym meczu, była wypowiedź trenera Mladenowa: *Dyktowaliście warunki gry, byliśmy tylko waszym tłem. Teraz sam się przekonałem, jaką wartość posiada tytuł mistrzowski ostatniej Olimpiady.*

Nie muszę dodawać, że po spotkaniu w drużynie panowała euforia. Cieszyliśmy się bardzo nie tylko z samego wyniku, który poszedł w świat, ale z faktu, że stanowiliśmy zwarty, rozumiejący się kolektyw, który, jak trzeba, potrafi dać z siebie więcej niżby można oczekiwać. Wynik nasz zamykał także usta niedowiarkom i oponentom trenera Górskiego.

Innym profitem, płynącym z warniejskiej próby, była krystalizacja składu pierwszej reprezentacji. Graliśmy w następującym ustawieniu: Tomaszewski — Szymanowski, Gorgon (Bulzacki), Wieczorek, Musiał — Cmikiewicz, Deyna, Kasperczak — Łato, Domarski, Gadocha (Szarmach). Analizując po kolei pozycje, wydawało się (i tego zdania był Kazimierz Górski), że: pozycja bramkarza jest niezagrażona, podobnie jak bocznych obrońców — wiślaków, a także Jurka Gorgonia jako stopera. Dyskusować można było nad obsadzeniem drugiego miejsca w środku obrony (Bulzacki lub Wieczorek). Pomoc z Deyną oraz Cmikiewiczem i Kasperczakiem też prezentowała się niezłe. W ataku nareszcie znalazł się wartościowy kandydat na prawe skrzydło (Łato). Na środku — z braku Włodka Lubańskiego — najlepszy wydawał się Domarski, a na lewej flance naturalnie Gadocha. Przy takim ustawieniu wiodącymi okazywałyby się dwie „trójki” — mielecka: Kasperczak, Łato, Domarski i warszawska: Deyna, Cmikiewicz, Gadocha. Ta koncepcja wyraźnie zdawała się odpowiadać Kazimierzowi Górskiemu i okazało się, że nie bez podstaw.

W sumie wracaliśmy do kraju pełni nadziei i jak najlepszych myśli przed czekającym nas pojedynkiem z Walią. A najbardziej uradowany był Grzesiek Łato, którego pozycja w kadrze odtąd nie podlegała dyskusji.

(cdn.)

Do druku przygotował:

Waldemar Piasecki